

EMILIE RICHARDS

ODNALEZIONA MELODIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pęki pastelowych róż, ułożone starannie na werandzie farmerskiego domu w Georgii, wyglądały tam równie absurdalnie, jak brylantowy diadem u stracha na wróble. Dom był wielki, rozrastał się chaotycznie we wszystkie strony, jakby rozbudowujący go cieśle wybierali na chybił trafił miejsca, w których miały stanąć nowe izby. Był wprawdzie niedawno odnowiony i starannie utrzymany, a jednak przypominał przytulną szopę. Delikatne róże zupełnie do niego nie pasowały. Tak samo, jak nie pasowała młoda kobieta, układająca je w szklanym zielonym wazonie.

Smukła Wendy MacDonald, wygodnie oparta o rzeźbioną balustradę werandy, przerzucała kwiaty długimi palcami, nieustannie poprawiając ich układ. Jej prostą, różową sukienkę letnią lekko podwiewał chłodny wiatr - obciągała ją w dół z odruchową kobiecą wstydlivością. Na tym skromnym tle wyglądała dość egzotycznie, gdyż sprawiała wrażenie istoty stworzonej do bardziej eleganckiego otoczenia. Wydawała się jednocześnie spoufalona z niezgrabnym domostwem, gdyż był to jedyny dom, jaki dotąd miała.

Dwadzieścia trzy lata spędzone pod słońcem Georgii oraz życie wypełnione gospodarską krzątaniną, a także sprzeczkami i śmiechem jedenaściorga rodzeństwa, nie naruszyły cechującej Wendy harmonii wewnętrznej. Sandy MacDonald Hamilton, jedna z jej dwóch starszych siostr, mawiała zwykle, że Wendy to piękny motyl wśród roju pszczół. A Sara MacDonald, jedna z dwóch siostr młodszych, powiadała z kolei, że ich matka po urodzeniu Wendy w takim pośpiechu wracała ze szpitala do domu, że przez pomyłkę zabrała cudze dziecko.

Ręce Wendy znieruchomiały na chwilę, gdy podniosła głowę i rzuciła pytanie w stronę obitych drucianą siatką drzwi wejściowych:

- Jak myślisz, czy mam wziąć nowy wazon, czy układać dalej póki ten nie pęknie?

- Dołóż do pełna - poradziła Sara i pchnąwszy skrzypiące drzwi, wyszła na werandę z bawialni, skąd obserwowała siostrę. - Nie będziesz musiała wtedy wstawać i szukać drugiego wazonu.

Wendy uśmiechnęła się lekko. Przyzwyczajona była do niezwyklej praktyczności Sary. Dwudziestoletnia Sara nie marnowała nigdy czasu, słów ani uczuć. Rzeczowa i rozsądna jak komputer, była chodzącym rejestrem faktów. Dwie siostry różniły się pod każdym względem.

Frontowe schody, na których siedziała Wendy, słońce ozłacało blaskiem, zapalając ogniki w jej krótko obciętych, bladozłotyach puklach. Światło słoneczne nie gasiło, a raczej

podkreślało matową różowość cery oraz intensywny brąz oczu. Ale uwydatniało także i małe usta ze zbyt pełną dolną wargą, która sprawiała, że nie można było uznać dziewczyny za klasyczną piękność.

- Cokolwiek robisz, wyglądasz tak, jakbyś przygotowywała się do roli Pierwszej Damy Ameryki - powiedziała Sara kręcąc głową. - Niech mnie diabli... jeśli wiem, jak ci się to udaje.

- Nie przygotowuję się do roli żadnej damy.

- No to wielka szkoda. Przecież gdzieś istnieje ambitny menedżer, który właśnie ciebie potrzebuje dla ozdoby domu. Mogłabyś pędzić luksusowe życie, mieć dwoje albo troje dzieci i doborową sferę owczarków irlandzkich.

- Ale musiałabym mieć także męża, a ten punkt programu zupełnie mi nie odpowiada. Auu! - Wendy włożyła do ust palec, przebity kolcem róży. - Patrz, jak na mnie wpływa rozmowa o małżeństwie.

- Jesteś dla mnie zagadką. Ale ja lubię zagadki.

Wejściowe drzwi skrzypnęły znowu i pani Eldora MacDonald wyszła do córek na werandę. Przysiadła na schodach naprzeciwko Wendy i odgarnęła włosy z karku, by wiosenny wiatr ochłodził jej spotniałą skórę.

- Czujecie, jak pachną kwiaty magnolii?

- To jedna z tych rzeczy, za którymi będę najbardziej tęskniła po wyjeździe do Atlanty.

- Wendy wyciągnęła rękę i pogłaskała kolano matki.

- W Atlancie też są magnolie - sprostowała Sara.

- Wiem. Ale będzie mi brak mamy mówiącej: „Czujecie, jak pachną kwiaty magnolii?”. - Wendy uśmiechnęła się do matki. - Byłaś jedyną osobą, która przypominała nam, że trzeba się na chwilę zatrzymać, by cieszyć się tym, co mamy.

- Ale tylko ty znajdowałaś czas, by to robić.

- Pani MacDonald również obdarzyła córkę uśmiechem. - Chwała Bogu, że nie tak zaraz wyjeżdżasz do miasta. Wy, dzieciaki, dorastacie tak szybko, że za chwilę dom będzie pusty.

- Sześcioro dzieci w domu to nie taka pustka - powiedziała Sara, opierając głowę o fotel i przymykając oczy. - Ale i ja się cieszę, że Wendy jeszcze nie wyjeżdża. Będzie więcej osób do zmywania.

Śmiech Wendy mieszał się z głosami ptaków, siedzących na wielkim drzewie magnolii, górującym nad werandą.

- Czy chcesz mi dać do zrozumienia, że łatwo może mnie zastąpić maszyna do zmywania?

- Nie tak łatwo. Mama jej nie chce. Od lat próbuję ją przekonać, że koszt gorącej wody i mydła, których zużywamy więcej, przewyższa...

- Dosyć! - Pani MacDonald podniosła ręce w żartobliwym proteście.

- No cóż, nie jestem zachwycona, że muszę przesunąć zaplanowany już wyjazd, ale cieszę się, że mogę pomóc w sklepie pani Merritt. - Wendy dołożyła jeszcze jedną różę do bukietu. - Żal mi jej, bo miała znowu kłopoty z sercem, ale mam nadzieję, że odpoczynek przez całe lato przywróci jej siły.

- Praca w sklepie z upominkami jest dla niej za ciężka - powiedziała pani MacDonald, która sama zawsze za ciężko pracowała. - W jej wieku to zbyt duży wysiłek. Dobrze, że miała dość rozumu, by zatrudnić ciebie, kiedy byłaś jeszcze w college'u. Teraz znasz już tę firmę.

- Tak. Ja najlepiej nadawałam się do tego, by przejąć na całe lato odpowiedzialność za „Melanz”. - Wendy wsunęła na miejsce ostatnią różę.

- Może się i najlepiej nadawałaś, ale nie musiałaś tego robić. Jestem dumna, że zdobyłaś się na takie poświęcenie.

- Cóż, Atlanta zaczeka na mnie, chyba że Jankesi spalą ją znów na popiół. - Wendy pokazała matce ułożone kwiaty. - No i co o tym myślisz?

- Myślę, że Jankesi prawdopodobnie nie spalą już Atlanty - zaśmiała się pani MacDonald, widząc minę Wendy. - Róże są śliczne, kochanie. Miałaś zawsze takie poczucie piękna.

- Wendy potrafi urządzić dom tak, by wyglądał jak w magazynie „Better Homes and Gardens” - powiedziała rzeczowo Sara do matki. - Jeśli w twoich genach istniały jakieś zadatki zdolności artystycznych, to wszystkie odziedziczyła ona, razem z kręconymi włosami.

- A kto otrzymał fotograficzną pamięć i złociste oczy, dość wielkie, by wzbudzić chciwość poszukiwacza złota? - odwzajemniła Wendy komplementy siostry.

- No cóż, fotograficzna pamięć nie będzie dostatecznie wykorzystana tego lata, ale wielkie złociste oczy tak. Siedzenie w cieniu, w zaroślach karłowatej sosny, i liczenie przejeżdżających samochodów dla stanowego wydziału transportu to nie jest właściwa praca dla umysłu.

- Założę się, że znajdziesz sposób, by go czymś zająć. - Wendy żyjąc z Sarą przez dwadzieścia lat musiała choć trochę orientować się, jak funkcjonuje umysł siostry. Sara mogłaby podjąć się zajęcia, które z Wendy zrobiłoby bezmyślną idiotkę, i zakończyć je, zebrawszy dosyć wiadomości, by napisać rozprawę naukową.

- Rzeczywiście, ta praca może być interesująca, jeżeli ktoś lubi podglądać bliźnich. Założę się, że wiem więcej niż ktokolwiek, co dzieje się w tej części hrabstwa. Mam dostęp do

różnych interesujących wiadomości.

- Sandy zawsze mówiła, że mogłabyś zrobić karierę jako agentka FBI - rzekła pani MacDonald, przysłuchując się z przyjemnością rozmowie dziewcząt. Tęskniła za starszymi córkami, Stacey i Sandy, które wyszły za mąż i mieszkały w innych okolicach południowych Stanów. Chciała więc korzystać z towarzystwa tych dwóch córek, które wkrótce także odejdą.

- Czy dowiedziałaś się dzisiaj czegoś ciekawego? - spytała Wendy, odpędzając ważkę o koronkowych skrzydełkach, która odważnie usiłowała usadzić się na różach.

- Ano, pan Brandt, który mieszka tam przy drodze, jeździ teraz nowiutką półciązarówką, czerwoną jak wóz strażacki. - Sara leniwie wachlowała się ręką. - U Kentów siedzą krewni, a Woodrowowie wyjechali wczoraj na Florydę.

- Skąd wiesz, dokąd pojechali?

- Na zakurczonym tyle mikrobusu mieli nabazgrane: „Na Florydę albo do mamra”. - Sara zaczęła, aż ucichną chichoty. - Dowiedziałam się nawet czegoś bardziej interesującego. Odkryłam, że można zabrać z farmy mężczyznę, ale nie można zabrać farmy mężczyźnie.

- Zagadka. - Wendy udawała, że zastanawia się nad słowami Sary. - Ale potrzebna mi dodatkowa wskazówka, żeby to rozszyfrować.

- Czy mówisz o Shanie Reynoldsie? - zwróciła się pani MacDonald do Sary, nie dostrzegając, jak Wendy zbladła przy tych słowach.

- Oczywiście. Ale skąd wiesz?

- Spodziewałam się, że wróci teraz, skoro jego ojciec zmarł. Zawsze kochał tę ziemię, jakby była jego częścią.

- No więc wrócił - oznajmiła Sara. - Wczoraj trzy razy widziałam, jak przejeżdżał. Chciałam wam o tym powiedzieć wieczorem przy kolacji, ale zapomniałam.

- Skąd wiedziałaś, że to on? - dopytywała się pani MacDonald. - Kiedy wyjechał, miałaś zaledwie kilkanaście lat. To było dawno. Może pięć albo sześć lat temu.

- Siedem - wtrąciła Wendy głucho, choć starała się, by jej głos zabrzmiał normalnie. - To było siedem lat temu. - Nie dodała, że to prawie dokładnie, co do dnia, siedem lat. Już dostatecznie się zdradziła.

- Nigdy nie zapominam twarzy - odparła spokojnie Sara. - A to jest twarz, której nie mogłaby zapomnieć żadna kobieta, nawet trzynastoletnia. On jest wciąż tym samym wspaniałym mężczyzną, ale teraz jeszcze bardziej męskim niż kiedyś.

- Jestem pewna, że pamiętasz Shane'a - powiedziała pani MacDonald odwracając się, by spojrzeć na Wendy.

- Bardzo dobrze.

- Coś mi się zdaje, że wyróżniał cię, kiedy przychodził tutaj do chłopców. Nazywał cię - zaraz, niech sobie przypomnę; nazywał cię...

- Mała wróżka. - Wendy unikała wzroku matki, choć Eldora MacDonald była i tak zbyt zatopiona w myślach, aby coś zauważyć. - Shane Reynolds wszystko nazywał po swojemu. - Wstała. - Właśnie przyszło mi do głowy, czego brak w tym bukiecie. Muszę dodać trochę paproci dla równowagi. Chyba pójdę poszukać ich do lasu.

- Mnie się wydaje, że tak jest doskonale - powiedziała Sara.

- Będzie wyglądało jeszcze lepiej, kiedy skończę. - Wendy próbowała się uśmiechnąć, ale zdała sobie sprawę, że nie potrafi. Odwróciła się i zbiegła ze schodów.

- Wendy? - Zmieszanie córki zwróciło wreszcie uwagę pogrążonej we wspomnieniach pani MacDonald. - Czy dobrze się czujesz, złotko?

- Świetnie, mamó. Niedługo wrócę. - Wendy nie odwracając się, poszła ścieżką przez podwórze w stronę kilkuhektarowego lasu, graniczącego z farmą.

Las, który przed miesiącem płonął od kwiatów dzikiego derenia, wyglądał teraz jak spokojna przystań, mieniąca się różnymi odcieniami zieleni. Nogi same zaprowadziły Wendy do znanego jej miejsca, w którym rosło najwięcej paproci. Machinalnie zerwała garść i patrzyła na nie niewidzącym! oczyma, póki nie uświadomiła sobie, jak dziwacznie się zachowuje. Położyła paprocie na kamieniu, by zabrać je później, i poszła dalej przez las na skraj farmy MacDonaldów.

Shane Reynolds wrócił. Nie powinna czuć się tym wstrząśnięta. Shane wrócił, ale ona miała wyjechać. W rzeczywistości termin jego przyjazdu był jej nie na rękę tylko przez parę miesięcy. Gdyby zaczekał do września, nie musiałyby się wcale martwić, że go spotka. We wrześniu mieszkałyby już w Atlancie, korzystając z wygód i przyjemności miejskiego życia. Z pewnością wspomnienia związane z Shane'em Reynoldsem tak by już zbladły, że spotkanie z nim nie miałyby znaczenia. I z pewnością wówczas sam dźwięk jego imienia nie wywoływałby w jej sercu bolesnego zamętu uczuć.

Shane Reynolds. Nie był już tym chłopięcym dwudziestolatkiem, który tak żywo zapisał się w jej pamięci. Miał teraz dwadzieścia siedem lat, był całkowicie dojrzały, choć, zdaniem Sary, nie mniej przystojny. Ale i ona nie była już tą szesnastoletnią małą wróżką, która zaczarowała go tamtej nocy przed wielu, wielu laty. Od dawna nie była dzieckiem. To Shane się o to postarał.

- Czy chociaż pamiętasz, Shane? - spytała. Jej zarliwy szept natychmiast porwał i rozproszył wiatr wśród drzew obsypanych wiosennymi pączkami.

W odpowiedzi zabrzmiał stuk końskich kopyt na czerwonej gliniastej drodze, biegnącej

wzdłuż farmy. Ten odległy dźwięk wywołał wspomnienia, których nie można było zagłuszyć. Wendy osunęła się na kłodę, leżącą u jej stóp, i mimo woli powróciła do przeszłości.

Miała trzynaście lat, gdy zakochała się w Shanie Reynoldsie. Zdarzyło się to w dniu przypominającym dzisiejszy, lecz o wiele gorętszym. Letnie słońce przenikało w cień dębów i topoli, przypominając jej, że powinna być teraz w domu i pomagać matce przygotowywać kolację. Uciekła przed hałasem i rodzinnym zamętem, chcąc pomarzyć w lesie i już nadszedł czas, by po odpoczynku znów stawić temu wszystkiemu czoło.

Włosy Wendy opadały w lokach na ramiona, a ciało, które właśnie zaczynało dojrzewać, okrywały szorty i marszczony staniczek. Odgłos końskich kopyt przeszkodził jej w powrocie. Rzuciła się więc w gęstwinę drzew przy drodze, żeby zobaczyć, kto jedzie.

- Shane! - Gwałtownie pomachała ręką do chłopca, który nadjeżdżał na przysadzistym kasztanku bez siodła i uzdy. - Shane!

- Cześć, Wendy. - Chłopak zatrzymał konia naprzeciwko niej i czekał, by mogła go dogonić. Wendy była akurat w wieku, w którym chłopcy i konie walczyli o pierwszeństwo w jej sercu, ale Shane wygrywał bez trudu w każdej z takich konkurencji. Mając siedemnaście lat wyrósł już z chłopięcej niezdarności i wszystko wskazywało na to, że stanie się uwodzicielskim mężczyzną. Jego miękkie ciemnoblonde włosy i błękitne oczy ostro kontrastowały z opaloną skórą i wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi. Niezbyt wysoki, poruszał się z wrodzoną godnością i męskim wdziękiem. Były to cechy, którym niewiele kobiet mogło się oprzeć. Nawet Wendy słyszała opowieści o jego sukcesach u dziewcząt z miejscowej szkoły średniej. W pewnym sensie nie miało to dla niej znaczenia. Wychowała się razem z Shane'em. Bawił się i bił z jej braćmi, wiele razy jadał przy ich rodzinnym stole, droczył się z jej siostrami i wszystkim zalał za skórę. Zupełnie nie rozumiała, dlaczego jej serce biło szybciej, gdy była blisko niego, dlaczego szukała sposobów, by porozmawiać z nim, gdy tylko mogła. Wiedziała jedynie, że Shane jest nadzwyczajny, i owego upalnego dnia był to wystarczający powód, by go zaczepić.

- Czy mogę pojechać z tobą do domu?

Shane przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, taksując wzrokiem kształt jej długich nóg, które wyłaniały się z kusych szortów i smukłego, właśnie rozkwitającego ciała.

- Cóż to za niezwykła okazja, spotkać cię bez całej armii braci - powiedział.

- Gdy się ma tylu braci co ja, to zrozumiałe, że się jest wciąż razem - odrzekła sentencjonalnie, zdziwiona, czemu Shane uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Naprawdę myślisz, że dlatego tak ciągle sterczą przy tobie? - Shane skierował konia w stronę głązu, leżącego na poboczu. - Właż tędy.

Wendy wskoczyła na głąz, pochwyciła wyciągniętą ku niej opaloną rękę. Po chwili siedziała przed nim na koniu. Powoli ruszyli drogą.

Jeździła już na oklep z przyjaciółmi i rodzeństwem, nie było to więc dla niej nowe doświadczenie. Lecz siedząc przed Shane'em, czując, jak chwilami otacza ją ramionami, jak ociera się o nią jego młode, silne ciało, uległa naporowi nieznanym uczuć. Nie miała jednak dosyć doświadczenia, by się tym zaniepokoić.

- Jak wspaniale!

- Czy rzeczywiście sądzisz, Wendy, że bracia trzymają się tak blisko ciebie przez przypadek?

Poczuła, że ramiona Shane'a obejmują ją i przechyliła się do tyłu, by się o niego oprzeć.

- Jasne. A ty jak myślisz?

- Mam wrażenie, że oni dobrze wiedzą, jaki z ciebie mały skarb.

- Nie. Myślę, że im trochę zawadzam.

Roześmiał się, a ona śmiała się wraz z nim, szczęśliwa, że czuje się z nią dobrze.

- Jesteś dzieckiem wróżek - powiedział Shane. - Elfem, małą, czarodziejską nimfą leśną.

- Gdyby tak było, sprawiłabym, żebyś codziennie woził mnie konno. Wzięłabym cię do niewoli i kazałabym ci robić, co tylko zechcę.

- Chyba by ci się to jakoś udało.

Wendy była zadowolona, że głos mu się nieco załamał, więc przytuliła się do niego troszkę mocniej. Przez resztę drogi milczeli, póki nie dojechali do zakrętu, prowadzącego w stronę domu MacDonaldów.

- Zeskakuj - zażądał Shane.

- Ale dlaczego?

- Bo nie chcę, żeby twoi bracia wściekali się na mnie.

Odpowiedź tak ją zaskoczyła, że przerzuciła nogę przez koński grzbiet, by móc widzieć twarz Shane'a.

- Ależ moi bracia cię lubią.

- Przesną mnie lubić, jeśli będą myśleli, że interesuję się ich małą siostrzyczką.

Nie miała przedtem pojęcia, że serce może bić tak mocno.

- Więc interesujesz się mną? - W jej pytaniu nie było żadnej prowokacji, po prostu chciała się dowiedzieć.

- Zobaczysz, mała wróżko, że w całym hrabstwie trudno będzie znaleźć mężczyznę,

który by się tobą nie interesował. Ale pewnie jesteś jeszcze za młoda, żeby to zrozumieć?

- Ale ja pytałam tylko, czy to ty się mną interesujesz? - Poczwała zakłopotanie.

- Może odpowiem ci na to pytanie za jakieś pięć czy sześć lat. - Shane dotknął palcem czubka jej nosa. - Ale nie dorastaj za szybko.

Potem pochylił się i jego usta delikatnie dotknęły jej warg. Odtąd na zawsze już odgłos kopyt końskich skojarzył się jej z uczuciem słodkiego uniesienia i pierwszym prawdziwym pocałunkiem.

Teraz Wendy siedziała niedaleko miejsca, w którym przed tak wielu laty widziała Shane'a, i wstrzymując oddech czekała, aż znów pojawią się w dali koń i jeździec. Tej wiosny panowała susza i powolne uderzenia kopyt wzbijały chmurę czerwonego pyłu. Niewiele było widać, dopóki nie zbliżyli się na odległość prawie stu metrów.

To był Shane. W jakiś sposób wiedziała z góry, że tak się stanie. Tak głęboko pogrzyżała się we wspomnieniach, że nie mógł to być nikt inny. Jakby wywołała go z pamięci, żeby mu się jeszcze raz przyjrzeć.

Miał tę samą pełną godności postawę, ale ramiona szersze. Jego pierś była obnażona, rozpięta białą - niebieską koszulą odkrywała ciemną skórę, opinającą wydatne mięśnie. Ciemnoblond włosy, proste i miękkie, były przycięte krócej niż zapamiętała, niemniej spadały mu na czoło. Przypomniała sobie aż za dobrze, co czuła, przeczesując i odgarniając je palcami, by odsłonić szerokie linie gęstych brwi.

Shane siedział na swym lśniącym siwku jak przyrośnięty, jakby stanowił jedno z potężnym zwierzęciem. W ruchach konia i jeźdźca wyczuwało się dziką energię tak, jak gdyby z trudem znosili powolność jazdy, stanowiącą ciężką próbę dla nich obu. Zdawało się, że są gotowi do skoku przy pierwszym wyzwaniu.

Dlaczego ludzie utrzymują, że wady zacierają się w naszej pamięci? Wendy zastanawiała się czasem, czy - gdyby spotkała znów Shane'a Reynoldsa - potrafiłaby uznać, że nie jest on takim wzorem doskonałości, jakim go zapamiętała. Teraz знаła już odpowiedź. Wyglądał lepiej niż we wspomnieniach. Mocna budowa ciała i miedziany odcień skóry były jego dziedzictwem po matce, pół - Indiance z plemienia Czerokee. Błękitne oczy i włosy blond to dar ojca, który nigdy nie dał mu niczego dobrowolnie. Kiedyś - uroczy chłopiec, dziś - wspaniały mężczyzna.

Wendy była ukryta za drzewami, ale Shane zatrzymał się akurat na wprost niej, jakby wiedział, że jest obserwowany. Pamiętała, że zawsze miał szósty zmysł, intuicję, dającą mu przenikliwość, jakiej innym ludziom brakowało. Być może to ta intuicja, a może wynurzające się z głębi dawno zatarte wspomnienie sprawiło, że skierował konia w stronę lasu, w którym

siedziała wstrzymując oddech i czekając, aż odjedzie.

Zmusiła się do spokoju. Nie mógł przecież domyślić się, że go obserwuje. Próbowwała spojrzeć na niego chłodnym okiem, badając jego rysy i szukając jakichś utajonych skaz. Były zbyt dobrze ukryte, by stać się widoczne. Znała je dobrze. Największa z nich, doskonały egoizm, omal nie zrujnowała jej życia.

Jakąś cząstką swej istoty pragnęła wyjść z kryjówki za drzewami i spojrzeć mu znowu w twarz. Ale inna jej cząstka nie chciała go już nigdy widzieć. Siedziała bez ruchu czekając, aż się oddali. Gdy wreszcie zawrócił konia, puszczając go po drodze galopem, odetchnęła głęboko, by wygnać jego obraz z pamięci.

Shane Reynolds wrócił. Ona jednak była już teraz kimś innym. Kiedy spotkała go po raz ostatni, miała szesnaście lat. Teraz była o siedem lat starsza i o sto lat mądrzejsza. Wstała, strzepnęła ze spódniczki okruchy kory i poszła z powrotem do domu.

Pochyliła się, by pozbierać paprocie, pozostawione na kamieniu. Więdy już, zwijając się we frędzle i brązowiejąc w oczach.

- To samo stało się z moim życiem, kiedy mnie opuściłeś, Shane - powiedziała i rozrzuciła paprocie, które uniósł lekki wiatr. - Ale to się już nie powtórzy. Nigdy, nigdy więcej.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy następnego dnia Wendy okrągłą, twardą szczotką dręczyła swoje poskręcane włosy, Sara zapukała i weszła do jej sypialni.

- Idziesz do kościoła? Wszyscy są już gotowi. Nigdy nie wybierasz się tak późno.

Wendy nie bardzo mogła się zdecydować, czy w ogóle powinna chodzić do kościoła w tych dniach. Spała co prawda normalnie, nie pozwalając, aby Shane Reynolds zmaćił jej sen. W lesie nawiedziły ją upiory przeszłości, lecz teraz jednak postanowiła panować nad swoją pamięcią. Przeżyła wstrząs z powodu powrotu Shane'a, ale potrafi się z tym uporać. Tak przynajmniej powtarzała sobie, dopóki nie nadszedł czas wyjazdu do kościoła i nie zdała sobie sprawy, że Shane również może tam być.

W dzieciństwie i młodości Shane przychodził do kościoła zawsze sam. Harnett Reynolds nie zaszczycił nigdy niewielkiej białej świątyni swą obecnością, ale wymagał, by Shane bywał tam co niedziela. Chłopiec zwykle przychodził późno i wślizgiwał się do jednej z ławek, w których siadywała rodzina MacDonaldów. Wspomnienia o Shanie stanowiły dla Wendy część kościoła, tak samo jak lśniące brązowe ławki i skromne różowe szybki w oknach. Ten właśnie kościół wyobraźnia szesnastolatki przystrajała kwiatami na ślub, który się nigdy nie odbył.

- Po prostu trudno mi się było dziś obudzić, ale już jestem gotowa. - Wendy podeszła do lustra, by wpiąć w uszy małe, złote kolczyki.

Sara z ciekawością obserwowała siostrę.

- Jesteś bardzo małowówna od wczorajszego popołudnia.

- Rozmyślałam o tym, jak bardzo chcę wyjechać do Atlanty. - Wendy odwróciła się do Sary. - Lepiej już chodźmy.

Kościół wypełniały znajome twarze sąsiadów, wśród których wychowywała się Wendy. MacDonaldowie jak zwykle zasiedli razem, choć przyjeżdżali oddzielnie. W święta, gdy każde z nich odwiedzało rodziców z żonami, mężami i dziećmi, zajmowali parę ławek, ale dziś zmieścili się w jednym rzędzie przy wyjściu. Wendy siedziała z brzegu.

Zamknęła oczy i starała się poddać panującej wokół atmosferze spokoju i pogody. Shane'a nie było, niepotrzebnie się więc martwiła. Nie żył już Harnett Reynolds, zmuszający swego upartego syna do siedzenia na nabożeństwie. Wendy ma przed sobą całe dnie, a może i tygodnie spokoju, nim będzie zmuszona stawić mu czoło. Wówczas zdąży się już oswoić z

jego powrotem i znajdzie w sobie siłę, by oprzeć się jego czarowi.

Teraz jednak, wśród łagodnego szmeru znajomych głosów i szumu wentylatorów, jej czujność osłabła. Znow z łatwością przeniosła się w przeszłość.

Gdy Shane pocałował ją po raz pierwszy, Wendy zakochała się w nim bez pamięci. Spotykała go często, ale nigdy sam na sam. Był wtedy uprzejmy i opanowany, odnosił się do niej z szacunkiem jak do osoby dorosłej, całkowicie inaczej niż traktowali ją bracia.

Czując, że stanie się przedmiotem żartów całej rodziny, jeśli ktokolwiek zacznie ją podejrzewać o miłość do Shane'a, Wendy z największym wysiłkiem starała się zachowywać naturalnie w jego obecności. Nikt nie zauważył, że zawsze manewrowała tak, aby usiąść przy nim, gdy był zaproszony na kolację. I nikt nie spostrzegł, że choć chłopiec wymyślał przezwiska dla wszystkich dziewcząt MacDonaldów, słowa „mała wróżka” wymawiał w nieco inny sposób.

Kiedy Wendy skończyła piętnaście lat, Shane wyjechał na stanowy uniwersytet Georgii. Jego stosunki z ojcem były, oględnie mówiąc, napięte, toteż rzadko przyjeżdżał na weekendy. Wendy chodziła wówczas do szkoły średniej. Cieszyła się powodzeniem u chłopców ze swojej klasy, ceniła sobie rosnącą swobodę i rosnącą odpowiedzialność, nade wszystko zaś była szczęśliwa, że wkrótce już dorośnie na tyle, by móc umawiać się na randki z Shane'em.

MacDonaldowie byli surowi. Nie wolno jej było samej wychodzić z chłopcami. I chociaż rodzice lubili Shane'a, nie pozwolono by jej umawiać się z nim w żadnych okolicznościach. Był całkowicie do przyjęcia jako kolega synów, ale nie wchodził w rachubę jako chłopak Wendy.

Nie uważano, że jest zły, ale w jego domu nie było miłości i Shane reagował na to buntem przeciwko światu. Jeśli chodzi o miejscowe dziewczyny, miał reputację mętną i zaszarganą. Wendy rozumiała, że dopóki nie dowiedzie rodzicom, iż Shane'owi rzeczywiście na niej zależy i nie chce jej wykorzystać, nie ma żadnej nadziei na spotkanie się z nim.

Czekała więc cierpliwie, ciesząc się młodością. Często zastanawiała się, czy Shane także czeka. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że tamtego upalnego dnia żartował. Wiedziała jakoś, że mówił serio. Trzeba było tylko sprawdzić, czy się nie zmienił.

Aż pewnego lata, na rok przed ukończeniem szkoły, przekonała się, że Shane pozostał taki sam.

Przyjechał do domu, by pracować u ojca w czasie wakacji. Farma była tylko częścią rozległych interesów Harnetta Reynoldsa. Miłość i troska, które ojciec Shane'a mógłby ofiarować pozbawionemu matki synowi, została przeniesiona na nieruchomości oraz

inwestycje przemysłowe, stanowiące dodatek do ponad trzystuhektarowej farmy. Chłopak zgodził się na powrót dlatego, że ojca opanowała obsesyjna chęć robienia pieniędzy.

Początkowo Wendy spotykała go rzadko. Jak wszystkie dzieci MacDonaldów była zajęta pomaganiem rodzicom na farmie. Gdy Shane przychodził z wizytą, oblegało go natychmiast całe rodzeństwo. Ale pewnego sierpniowego dnia zastał ją samą.

Tego popołudnia kazano jej zabawiać najmłodsze dzieci, więc całymi godzinami skakali w spichrzu z poddasza na stertę pachnącego siana. Wreszcie dzieci, zmęczone, poszły pomagać ojcu przy karmieniu kurcząt. Wendy otworzyła na poddaszu wielkie okno, usadowiła się na parapecie i wtedy zobaczyła, że nadjeżdża auto Shane'a. Zauważył, że dziewczyna daje mu znaki. Wokoło nie było nikogo, więc po chwili wdrapywał się do niej po drabinie.

Zaczęli rozmawiać tak, jakby te trzy lata wcale nie minęły.

- Bracia nie pilnują mnie dzisiaj. - Uśmiechnęła się na powitanie.

- Widzę.

- Urosłam - dodała.

- I to widzę.

Siedziała dalej na parapecie, zadowolona, że się jej przygląda. Ścięta dawną dziecinną czuprynę, poskręcaną w niesforne pierścionki - teraz loki otaczały aureolą twarz dorastającej dziewczyny. Ze słomą we włosach wyglądała jak wiejski anioł.

- Z iloma chłopcami się całowałaś? - spytał w końcu Shane wzdychając.

- Tylko z paroma. Dla wprawy.

Shane wyciągnął do niej ramiona. Rzuciła się w nie z naiwną ufnością, która musiała go zaskoczyć. Tym razem jego pocałunek był inny. Choć wciąż delikatny, wzniecił w jej ciele dotąd nie znany płomień. Nic nie przygotowało jej również do tego, co odczuła, gdy Shane w końcu odsunął ją.

- Słyszę, że matka cię woła - powiedział.

- Czy ciągle jeszcze czekasz, aż dorosnę?

- Obawiam się, że nie nazbyt cierpliwie. Czy nie mogłabyś się trochę pospieszyć? -

Uśmiechnął się do niej i strzepnął słomę z jej loków.

- Spróbuję. - Cofnęła się zmartwiona. - Muszę iść.

- Tak. Musisz.

Niemal sfrunęła leciutko na dół. Gdy zeszła z drabiny, podniosła głowę, by ostatni raz spojrzeć na Shane'a. Odruchowo posłała mu całusa. Jego uśmiech był ostatnią rzeczą, jaką widziała, zanim wybiegła z szopy...

- Wendy!

Ocknęła się z wolna. Była tak zatopiona w myślach, że dopiero gdy Sara mocno szturchnęła ją łokciem w bok, otworzyła oczy i przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

- Co?

- Shane Reynolds jest tutaj - szepnęła Sara.

Wendy patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Ręce jej stały się lodowato zimne i, ku jej rozpacz, zaczęły drżeć. Gdzież podziało się z trudem zdobyte panowanie nad sobą, o które walczyła latami? Kimże była, by tak się dręczyć jedynym błędem swej przeszłości, że pamięć o nim doprowadziła ją do całkowitego załamania?

Cała rodzina Wendy odwróciła się, by powitać przybysza, tylko ona jedna patrzyła uparcie przed siebie. Wiedziała jednak, że spostrzegawcza Sara zrozumie teraz, dlaczego siostra była tak milcząca w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Posuń się, Wendy - usłyszała głęboki głos, które go nie mogłaby pomylić z żadnym innym.

Zdrętwiała, zdumiona, że Shane jest na tyle bezczelny, by usiąść przy niej. Przesunęła się prawie niedostrzegalnie tylko parę centymetrów, choć zdawała sobie sprawę, że ostentacyjność jej oporu mogłaby wzbudzić w nim jakieś nadzieje. Wcisnął się na miejsce, napierając na jej uda i popychając ją w stronę Sary. Nie mogła wywołać sceny, wychodząc z ławki, ale nie była też w stanie odsunąć się od niego. Znalazła się w pułapce, wtłoczona między mężczyznę, którego nie chciała widzieć na oczy, i siostrę, której podejrzewania rosły prawdopodobnie z szybkością błyskawicy.

Wendy czuła za plecami ramię Shane'a, opierające się niedbale o drewnianą ławkę. Nie mogła tego dłużej znosić po to tylko, by uspokoić ciekawość Sary. Odwróciła się lekko, by spojrzeć na niego. Nie była zaskoczona widząc, że się jej przygląda.

- Jest tyle innych miejsc, na których mógłbyś usiąść, Shane:

- Żadne nie jest równie pociągające.

Z bliska nie wyglądał już tak jak dawniej. Dojrzałość nadała jego twarzy wyraz powagi, ale i zmysłowości, której, gdy miał dwadzieścia lat, można się było jedynie domyślać. Z wiekiem wyglądał coraz lepiej.

Także jego głos się zmienił. Nigdy przedtem nie pojawiła się w nim nuta sarkazmu, kiedy z nią rozmawiał. Inny był również wyraz jego oczu. Jasnoniebieskie źrenice wyrażały zimną niechęć. Doskonale odpowiadały niechęci, malującej się w jej brązowych oczach.

- Zawsze doskonale umiałeś robić to, na co właśnie miałeś ochotę - powiedziała z udawaną obojętnością. Odsunęła się od niego jak najdalej i, tak jak przedtem patrzyła wprost przed siebie. Za chwilę pojawił się przy pulpicie pastor i zapadła cisza. Poproszono Shane'a, by

wstał, bo kongregacja chce go powitać. Potem wstali wszyscy, żeby odśpiewać pierwszy hymn.

Z konieczności musieli korzystać z jednego śpiewnika. Stali obok siebie, baryton Shane'a współbrzmiał z sopranem Wendy, jakby nic się nie zdarzyło między nimi. Ich ramiona stykały się, jakby zawsze byli tylko przyjaciółmi. Wendy nigdy jeszcze nie odczuła tak silnie, że żyje w kłamstwie.

Siedzenie obok Shane'a przez całe nabożeństwo byłoby nieznośne, ale ten przymus został jej oszczędzony. W dziesięć minut później wstała, by wyjść razem z dziećmi do szkoły niedzielnej.

- Już idziesz? - Shane położył jej rękę na ramieniu. Dla obserwatora z boku ten gest mógł uchodzić za naturalny i przyjacielski. Tylko Wendy odczuła stalowy uchwyt palców, wpijających się w jej ramię.

- Pomagam przedszkolance. - Zmuszona była spojrzeć na jego drwiącą twarz. - Wybacz, proszę - powiedziała spokojnie, na próżno usiłując oswobodzić ramię.

- Chciałbym porozmawiać z tobą po kościele - szept Shane'a przeznaczony był tylko dla jej uszu.

- Nie zawsze możesz mieć to, czego pragniesz, Shane - odparła cicho. - Ale może nie miałeś jeszcze okazji, by się o tym przekonać.

- Zobaczymy się po nabożeństwie. - Przesunął niedbale palcami po jej ramieniu, zanim puścił ją wolno. Wyszła wreszcie z kościoła, uśmiechając się do dzieci, które pędziły do szkoły.

Łatwo jej było wynaleźć sobie zajęcie po nabożeństwie. Jennifer, piętnastoletnia siostra Wendy, najmłodsza z córek MacDonaldów, przyszła do klasy przedszkolaków, by oznajmić, że myszy zagnieździły się w schowku.

Wendy chętnie zgodziła się wyczyścić i uporządkować go po kościele. Był to znakomity pretekst, by uniknąć spotkania z Shane'em. Wysłała Jennifer, by uprzedziła rodziców, że nie wróci przed tradycyjnym popołudniowym obiadem niedzielnym. Potem zajęła się schowkiem z furją, pozwalającą na wyładowanie jej stłumionej frustracji. Gdy wreszcie skończyła robotę, minęło już dość czasu, by mogła być pewna, że nie natknie się na Shane'a. Sądziła, że nie starczy mu cierpliwości, by zaczekać na nią. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną.

Zatrzymała się przy gabinecie pastora, by uprzedzić go, że wychodzi i poszła na parking. Shane stał obok sfatygowanej półciężarówki miejscowego farmera. Nie słysząc ani słowa z ich rozmowy, Wendy była pewna, że dyskutują o zbiorach, o pogodzie albo o drobiu.

Byłaby to codzienna, pogodna scenka, gdyby nie chodziło o Shane'a.

- A więc, Shane - rzekła bez wstępów - w końcu osiągnąłeś to, czego chciałeś.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, co u ciebie słyhać.

Wendy przyglądając się mu odczekała chwilę, by powstrzymać gwałtowne słowa, które w każdej chwili mogły wyrwać się z jej ust. „Spóźniłeś się o siedem lat”, chciała krzyknąć do niego. Ale rzuciła mu tylko lodowate spojrzenie. Przez cały ranek był zbyt blisko niej, by mogła mu się przyjrzeć. Nosił dobrze skrojone niebieskawe ubranie, które uwydatniało jego ciemną cerę i jasne oczy. Miał białą koszulę i krawat z najlepszego jedwabiu. Widać było, że przywykł do kosztownych rzeczy. Wreszcie spojrzała mu w twarz.

- Świetnie, dziękuję.

- Zwykła uprzejmość wymaga, żebyś ty zadała mi teraz to samo pytanie.

- Tak więc gramy zgodnie z nowymi regułami. Stare nie obejmowały zwykłej uprzejmości. - Te słowa zrobiły na nim wrażenie, ale ona była niezadowolona, że pozwoliła sobie na sarkazm. Cokolwiek mówiła, ujawniało uraz, o którym, jak sądziła, już zapomniła.

- Co u ciebie słyhać? - zmusiła się do zapytania tak uprzejmie, jak potrafiła.

- Cieszę się, że jestem w domu.

Zwykła uprzejmość wymagała, by powiedziała „a my cieszymy się, że wróciłeś”, ale nie zdołała wypowiedzieć tych słów. Grzebała w torebce, szukając kluczyków od wozu.

- Chciałabym odjechać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Myślałem, że jesteś już mężatką. Słyszałem, że Stacey i Sandy wyszły za mąż.

- Tak. - Wendy nie mrugnęła nawet okiem, gdy spojrział na nią. - Ja nie mam zamiaru wyjść za mąż.

- Szkoda.

Wendy przygryzła wargę, kiedy Shane od niechcenia oglądał całą jej postać. Ta lustracja miała charakter obraźliwy.

- Czy chcesz tu zostać? - zapytała niemal szyderczo.

- Pozostać tutaj? W hrabstwie Hall? Tak. Chcę. Dlaczego pytasz? Czy wolałabyś, abym wyjechał?

- To nie ma dla mnie znaczenia. Sama wyjeżdżam we wrześniu. - Zrobiła krok naprzód, ale on się nie poruszył.

- Zanim wyjedziesz, powinniśmy pogadać o dawnych czasach.

- Nie pogadamy.

- Ależ mamy tyle do nadrobienia - powiedział z ironią. - Minęło siedem lat, prawie co do dnia, odkąd widziałem cię po raz ostatni.

Wyrafinowana gra została brutalnie przerwana. To, że mógł stać tutaj i obojętnie wspominać ich ostatnie spotkanie, wydawało jej się diabelstwem.

- Czy robisz notatki w kalendarzu, Shane? Czy podkreślasz datę na czerwono i co roku kogoś uwodzisz, by święcić naszą rocznicę? - Pod powiekami poczuła łyzy. Odwróciła się do niego plecami, by nie zdradzać już więcej swoich uczuć.

- Wendy...

- Do diabła z tobą, Shanie Reynoldsie. - Jej dźwięczny głos załamywał się ze wzruszenia. - Wynoś się stąd! Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Być może nie akurat teraz. Ale wkrótce - powiedział ostrzegawczo. Te słowa rozbrzmiewały echem w pamięci Wendy długo po tym, jak ucichł warkot jego wozu, opuszczającego parking.

Z wysiłkiem przebrnęła przez rytuał niedzielnego obiadu. Śmiała się machinalnie z kawałów swych kilkunastoletnich braci. Wieczorem była już wyczerpana udawaniem, że wszystko jest w porządku. Kiedy wszyscy już spali głęboko, wymknęła się na frontową werandę. Fotel na biegunach zaskrzypiał, gdy zaczęła się w nim kołysać. Kwiaty magnolii rozsiewały słodki zapach w chłodnym powietrzu nocy, a od czasu do czasu słyszała głos nocnego ptaka.

Nieodwołalnie nadszedł czas, by stawić czoło całej przeszłości. Pozwoliła sobie na przypomnienie kilku chwil przeżytych z Shane'em, ale było jeszcze jedno stłumione wspomnienie, które dominowało nad resztą. Raz nierozważnie obudzone, przynosiło jedynie gorycz. Pogrzebała je aż do powrotu Shane'a.

Przedostatni rok spędzony w szkole średniej stał się dla niej próbą panowania nad sobą. W końcu rodzice pozwolili jej wychodzić na randki i chłopcy ustawiali się przed drzwiami w kolejce, by osiągnąć ten przywilej. Czekwała niecierpliwie, aż Shane przyjedzie do domu i zaprosi ją na randkę. Ale stosunki między nim a ojcem pogarszały się stale i chłopiec nie wracał. Wendy pocieszała się filozoficznie, że im będzie starsza, tym większe będzie miała szanse uzyskania pozwolenia na randkę z Shane'em, gdy on się wreszcie zjawi.

Nadeszła wiosna, a z nią zaproszenie na bal z okazji promocji do ostatniej klasy. Partnerem Wendy był Richard Franks, syn jednego z najbardziej wpływowych dygnitarzy z Gainesville. Ubrana w niebieską, szyfonową kreację, którą uszyła sobie sama, została uroczyście wprowadzona do szkolnej sali gimnastycznej, przeistoczonej na ten wieczór w bałnię Polinezję.

Podczas piątego tańca zauważyła Shane'a. Towarzyszył starszej dziewczynie. Beverly

Hansen, nie cieszącej się najlepszą opinią. Wendy była jednocześnie zaskoczona i rozczarowana, gdy go dostrzegła. Ojciec Beverly i Harnett Reynolds prowadzili wspólne interesy i było zrozumiałe, że Shane spotykał się z Beverly na gruncie towarzyskim. Ale dla Wendy, która chciała mieć Shane'a na własność, oglądanie ich razem stanowiło miazdzący cios. Zbita z tropu, pozwoliła, by Richard zaciągnął ją do wazy z ponczem i nie spostrzegła, że - zgodnie z tradycją miejscowej szkoły średniej - chłopak zaprawił poncz alkoholem. Pijąc, nie odczuwała działania pozbawionej smaku wysokoprocentowej żytniówki, gdyż zbyt absorbowoła ją śledzenie Shane'a, tańczącego z Beverly.

Po dwóch następnych szklaneczkach, kiedy znów tańczyła z Richardem, Shane odbił ją partnerowi. Zaczęła wtedy odczuwać skutki kilku drinków, ale łatwo mogła sobie wytłumaczyć, że jej oszołomienie bierze się stąd, że to Shane trzymają w ramionach i oboje dryfują dookoła sali do wtóru melodii Carpentera.

- Nie wiedziałam, że jesteś w domu - powiedziała cicho.

- Zdecydowałem się przyjść z Beverly w ostatniej chwili. Wypożyczyłem ostatni smoking, który pasował na mnie. Co o tym myślisz?

Pomyślała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu. W porównaniu z nim miejscowi chłopcy wyglądali na niezdarnych wyrostków.

- Ujdzie - odrzekła, wciąż jeszcze trochę dotknięta, że zaprosił na tańce Beverly.

- Nie wiedziałem, że tu będziesz. Beverly zadzwoniła dziś rano. Mój ojciec powiedział jej ojcu, że przyjadę na weekend. - Przyciągnął ją trochę bliżej, a ona oparła się na nim, wdzięczna, że ją podtrzymuje.

- A więc tak to się stało? - powiedziała impertynencko. - Ojcowie przekazują wiadomości przez ojców. Zapamiętam to sobie.

- A jaką wiadomość przekazałby mi twój ojciec?

- Że jestem zmęczona czekaniem. Dorosłam, a ty tego nawet nie zauważyłeś.

- Podrosłaś trochę i zaokrągliłaś się tu i ówdzie. Twoje włosy są krótsze i jeszcze bardziej skręcone, jeśli to możliwe, a uszy masz przekłute. Twoje słodkie, małe usta bardziej nadają się do całowania niż kiedykolwiek, i chociaż nigdy nie byłaś niezgrabna, jest w tobie jakiś nowy czar, który zapiera mi dech w piersiach. Czy tego nie zauważyłem, mała wróżko?

Nie czuła się już rozczarowana.

- To dlaczego nie odezwałeś się do mnie? - spytała.

- Wendy, nie dowierzam sobie, gdy chodzi o ciebie... Jesteś jeszcze za młoda.

Zaskoczyło ją to. Nigdy nie zdarzyło się jej nic równie podniecającego. Milczeli przez następne trzy tańce, póki Wendy nie uświadomiła sobie, że jej partner się o nią nie upomniał.

- Powinnam poszukać Richarda - powiedziała w końcu, odsuwając się od Shane'a.

Pozwolił jej odejść, a ona znalazła chłopaka w jakimś kącie w towarzystwie Beverly. Oboje zaśmiewali się z przyjacielską poufałością. Po spędzeniu tak długiego czasu w ramionach Shane'a Wendy nie miała już ochoty tańczyć. Wypiła kolejną szklaneczkę ponczu, a potem jeszcze jedną. Zapadła noc. I chociaż Richard wciąż asystował Wendy, tańczyła dalej częściej z Shane'em niż z nim. Dopiero gdy zaczęła się potykać i chichotać, Shane zrozumiał, co się stało. Starcie z Richardem było bardzo burzliwe. Shane chciał koniecznie zabrać do domu i Wendy, i Beverly. Ale Beverly wołała zostać z Richardem. Ostatecznie tylko słaniającą się Wendy Shane wyprowadził na parking szkolny.

- Nie mogę być pijana - chichotała, nie panując nad sobą. - Baptyści nie piją!

W samochodzie chwiała się niepewnie, dopóki nie oparła się o Shane'a. Alkohol i uderzająca do głowy świadomość, że on jej pragnie, usunęły wszelkie zahamowania, które mogłaby odczuwać kiedy indziej. W zapamiętaniu przywarła do niego. Jęknął z głębi serca. Musiała przysnąć, gdyż kiedy się ocknęła, zajęchali już przed domostwo Reynoldsów.

- Nigdy tu nie byłam - powiedziała, nie dziwiąc się wcale, że nie odwiózł jej do domu.

- Twoi rodzice nigdy by mi nie darowali, gdyby cię zobaczyli w takim stanie - oświadczył Shane. - Wejdźmy do środka, wypijesz kawę i wytrzeźwiejesz.

- A twój ojciec nie weźmie mi tego za złe? - Objęła Shane'a za szyję i przytuliła się do niego.

- Nie ma go. Wendy, zachowuj się przyzwoicie. Będziemy tu zupełnie sami.

- Właśnie wyobrażam sobie, że jesteśmy zupełnie sami - rozmarzyła się.

Shane na chwilę przymknął oczy, a potem odsunął ją łagodnie.

- Uważaj na siebie, mała wróżko - ostrzegł. - Jestem za młody, aby być świętym.

- Kocham cię takim, jakim jesteś - powiedziała i zamknęła oczy.

Ocknęła się znowu na sofie w bawialni, a Shane klęczał przed nią i zdejmował jej pantofle.

- Ten dom potrzebuje kobiety. - Patrzyła na ponure, surowe zarysy mebli. Nie czuło się żadnej troski o piękno, a szkoda, gdyż dom był wspaniały, duży, przestronny, z wysokimi sufitami i ozdobną boazerią. - Ten dom potrzebuje mnie. - Spojrzała na Shane'a. - Ty mnie potrzebujesz.

Położył palec na jej ustach, by się uciszyła, ale ona chwyciła go za rękę.

- Pocałuj mnie, Shane.

- Nie, dopóki nie wytrzeźwiejesz.

- Proszę.

- Igrasz z ogniem.

Ale ona nie wierzyła mu. Znała Shane'a przez całe życie i ufała mu bez zastrzeżeń. Nie mogło dojść między nimi do niczego złego. Wiedziała, co może się zdarzyć między mężczyzną i kobietą, ale w tej chwili było tak, jakby zasady zostały ustalone dla innych. Ona i Shane stanowili wyjątek, w innych przypadkach obowiązywał surowy kodeks moralny. Wyciągnęła do niego ramiona z niemym wezwaniem.

- Czy ożenisz się ze mną, Shane? - zapytała.

- Pewnego dnia, tak.

Patrzyła na ukochaną twarz, naznaczoną bolesnym pragnieniem.

- No to proszę, pocałuj mnie.

Ale prosiła o więcej niż o pocałunek i oboje o tym wiedzieli. Wiele tygodni później, kiedy myślała już całkiem jasno, a opuszczenie i poczucie winy zniszczyły jej naturalną pogodę ducha, próbowała zrzucić odpowiedzialność za to, co się stało, na Shane'a i wypity bezwiednie alkohol. Nie mogła jednak w żaden sposób rozgrzeszyć siebie z udziału w ich miłosnym zbliżeniu. Oddała się Shane'owi tak, jak polny kwiat otwiera się na słońce i deszcz. Dopiero w ostatniej chwili, gdy była pewna, że jest za późno, by się zatrzymać, pojawiła się świadoma refleksja.

Gdy już było po wszystkim, szlochała, a Shane pocieszał ją. Na jego twarzy wypisane były wyrzuty sumienia, brzmiące także w jego głosie.

- Nigdy nie przypuszczałem, że to się stanie - powtarzał ciągle. - Nie chciałem cię skrzywdzić. Jesteś na to za młoda.

Ale stało się. Kiedy Wendy uspokoiła się na tyle, by wziąć prysznic, stojąc pod silnym strumieniem wody zaczęła myśleć racjonalnie. Wychowana w przeświadczeniu, że seks i małżeństwo są nierozłączne, żałowała, że straciła nad sobą kontrolę. Ale nawet jeśli nie byli sobie poślubieni, odczuwała wobec niego zobowiązanie, którego nic nie mogło odmienić. Przez całe życie był jej przyjacielem, teraz był kochankiem. Nie wątpiła, że tak szybko, jak to będzie możliwe, stanie się również jej mężem. Szesnastoletni umysł nie mógł pojąć możliwości nieszczęśliwego zakończenia. Gdy wyszła, Shane czekał na nią w bawialni. Usiedli na brzegu sofy i zaczęli rozważać, co się stało. Uformowani przez wieś, jej system wartości i surowe zasady pedagogiczne, nie potrafili mówić wiele o swoich uczuciach. Ale gdy Shane zaprowadził wreszcie Wendy do samochodu, by ją odwieźć do domu, była pewna, że ma na niego czekać i że kiedy skończy szkołę, on poprosi rodziców o pozwolenie na małżeństwo. Tymczasem miał ją widywać tak często, jak to będzie możliwe.

- Ale nie sam na sam - uprzedził, przytulając ją i całując tak, aby im to wystarczyło na

długo. – Nie jestem jeszcze w dostatecznym stopniu mężczyzną, by móc ci się oprzeć.

Wysiadła z samochodu i weszła do domu. Wtedy po raz ostatni widziała Shane'a Reynoldsa.

Teraz Shane miał dwadzieścia siedem lat i bezsprzecznie był już mężczyzną w dostatecznym stopniu, by oprzeć się cemukolwiek lub obstawać przy tym, czego pragnął. A Wendy po ich wspólnej nocy dorosła bardzo szybko. Dorastała po trosze za każdym razem, gdy szła do skrzynki, by szukać listów od Shane'a, które nigdy nie nadchodziły. Dorastała po trosze w każdy weekend, gdy nie wracał do domu, by się z nią zobaczyć. Dorosła w dniu, w którym skończyła szkołę i zdała sobie sprawę, że teraz Shane mógłby się z nią ożenić, gdyby tego chciał.

Noc była bezgwiezdna, czarna jak aksamit i ustało nawet cykanie świerszczy. Siedząc na ciemnej werandzie, przypominała sobie, jaką samotność odczuwała, kiedy zrozumiała, że Shane nie brał na serio żadnej z obietnic, które jej złożył. Powoli, z biegiem lat, przebaczyła sobie własną nierozwagę, ale to doświadczenie pozostawiło na niej swoje piętno. Nie była już niewinną małą wróżką. Żyła w smutku, niezdolna do ufności i to ją zmieniło.

Od powrotu Shane'a traciła czas na wspomnienia i żale. Spotkanie z nim powinno było położyć kres nie ukończonym rozrachunkom z własną przeszłością. Czas było nadać swemu życiu nowy bieg.

Z wysoko podniesioną głową zamknęła spokojnie za sobą drzwi od werandy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Były dwie prawdy, które Helena Merritt, właścicielka „Melanżu”, uznawała za absolutne. Pierwsza - że ludzie mają święty obowiązek uczynić świat pięknym. Druga - że to ona sama została wybrana, by im wskazać, jak tego można dokonać. Lub przynajmniej, że została wybrana, by nauczyć tego obywateli hrabstwa Hall.

Podstawę działania innych właścicieli sklepów w małym mieście Gainesville stanowił rachunek strat i zysków. Zasadami aktywności Heleny Merritt były idealizm i jej własny dobry smak. Jeśli wierzyła, że jakiś przedmiot doda wdzięku domom rodzinnym w Gainesville, trzymała go w sklepie, nawet jeśli nikt się nim nie interesował.

- Pewnego dnia - mówiła do Wendy - to się sprzeda. Ktoś przyjdzie, zorientuje się, że to wspinała rzecz i natychmiast kupi.

W rezultacie „Melanż” zamieniał się w dziwaczny lamus upominków, a wygląd wielu z nich świadczył, że stały się już trwałą częścią dekoracji.

W środę około południa Wendy skrycie wstrzymała oddech, gdy młoda para wydała okrzyk podziwu na widok niemal metrowej, szklanej figury, przedstawiającej konia stojącego dęba. Figura tkwiła w „Melanżu” dłużej niż Wendy, która już od pięciu lat pracowała tam po kilka godzin dziennie.

- To wspinałe - powiedziała kobieta z powściąganym zachwytem. - Ale to kosztuje więcej, niż możemy sobie pozwolić.

- Miałam to dać na wyprzedz w przyszłym tygodniu - oświadczyła Wendy. - Sprzedam to państwu po okazyjnej cenie. - Wymieniła sumę, która przyprawiłaby Helenę o nowy atak serca.

Młoda para odeszła taszcząc konia, a Wendy oparła się o kontuar uśmiechając się jak kot z „Alicji w krainie czarów”. Lubiła zajmować się tym małym sklepem z upominkami. „Melanż” mieścił się w wiktoriańskim domu w pobliżu starej części miasta Green Street, panowała w nim pełna wdzięku atmosfera Południa. Cztery salki na parterze były zagracone porcelaną, szkłem, bukietami sztucznych kwiatów, irlandzkimi koronkami, cynowymi i srebrnymi naczyniami. Znajdowały się tam również przedmioty mniej kosztowne. Jaskrawa, plastikowa zastawa na przyjęcia, elegancka papeteria i karty z życzeniami, kolorowa sztuczna biżuteria. Wszystko zostało zaprojektowane, by upiększyć świat, który tego bardzo potrzebował.

Teraz, gdy Helena przebywała u swojej najstarszej córki w Clarkesville w stanie

Georgia, gdzie wracała do sił po ostatnich kłopotach zdrowotnych, Wendy miała wolną rękę przez całe lato. Helena w bardzo krótkim czasie przekazała jej sklep, klucze, magazyn i wszystkie upominki. Wendy podejrzewała, że Helena ma zamiar otworzyć coś w rodzaju mniejszej wersji „Melanżu” w malowniczym miasteczku Clarkesville, aby być bliżej córki. Wierzyła zaś, że tymczasem „Melanż” będzie prosperował pod zarządem Wendy.

Dzisiaj w sklepie wszystko szło dobrze, choć zajmowała się nim jedynie Wendy. Dwóch młodych studentów z Brenau College, którzy zwykle jej pomagali, wyjechało na tygodniowe wakacje przed początkiem sesji letniej. W tygodniu panował w sklepie ruch, ale tego ranka otwały się upusty niebieskie, zalewając świat deszczem. Młodzi ludzie, którzy kupili szklanego konia, byli tego dnia jedynymi klientami.

Wendy zadowolona skorzystała z okazji, by zająć się papierkową robotą. Była prawie pora lunchu. Ponieważ zazwyczaj zamykała sklep w środę po południu, złożyła książki rachunkowe i faktury, przygotowując się do wyjścia. Ale dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych zapowiedział jakiegoś śmiałka, który odważył się spacerować w tak fatalną pogodę. Wyglądając spodniczkę fioletowej garsonki, wyszła powitać przybysza.

W małym przedsiönku stał Shane Reynolds, a jego granatowa wiatrówka ociekała wodą. Z odruchową uprzejmością zdjął czapkę.

- Halo, Wendy.

Jego ciemnoblond włosy były wilgotne i szesane do tyłu. Krople deszczu migotały jak błyszczące diamenty na policzkach i rzęsach. Nie uśmiechał się. Jasnoniebieskie oczy patrzyły z wyrazem napięcia i oczekiwania.

Wendy nie obchodziło, czego chciał. Skinęła głową bez uśmiechu.

- Halo, Shane. Właśnie miałam zamknąć na cały dzień.

- Dobrze. Przyszedłem, żeby zabrać cię na lunch.

Rozpiął wiatrówkę, ukazując jasnoniebieską bawełnianą koszulę, która podkreślała jego opaleniznę. Ostrożnie cofnęła się o krok. Patrzyła na niego, spokojnie zastanawiając się, jakie wrażenie wywarłby na niej Shane, gdyby nie łączyła ich tak pełna emocji przeszłość.

- Wendy?

- Nigdzie z tobą nie pójdę, Shane. Jestem zdziwiona, że mnie o to prosisz.

- Dlaczego?

- Ponieważ idę do domu.

- Nie. Dlaczego jesteś zaskoczona, że cię zapraszam? Powiedziałem ci, że musimy porozmawiać.

Shane podszedł bliżej i Wendy zdała sobie sprawę, że jeśli się teraz cofnie, on będzie

wiedział, jak bardzo czuje się zagrożona. Stała nieporuszona.

- Ale ja nie chcę rozmawiać z tobą - odpowiedziała rzeczowo. Nie zdobyła się na ton uprzejmej konwersacji, ale przynajmniej jej słowa świadczyły o opanowaniu i nie ujawniały sarkazmu, jak podczas ich ostatniego spotkania.

- Zobaczymy. - Shane uśmiechnął się cynicznie. - Co mi powiedziałaś w czasie nabożeństwa? Coś o tym, że nie zawsze uda mi się dostać to, czego pragnę? W takim razie to się odnosi także i do ciebie. Odbędziemy tę rozmowę. Będzie ci potrzebny parasol. - Zacisnął palce na łokciu Wendy, jakby chciał zaprowadzić ją do drzwi. Wendy szarpnęła ramieniem, ale jego uchwyt nie osłabł. Wspomnienia o nim, choćby najbardziej bolesne, nie mówiły o takiej brutalności. Zawsze postępował z nią łagodnie, nawet gdy trzymał ją w ramionach tej nocy sprzed wielu lat. Odwróciła się do niego.

- Nigdzie z tobą nie pójde.

- Zatem zmuszasz mnie do konfrontacji w twoim własnym domu.

Mógłby to zrobić. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Mógłby złożyć wizytę rodzicom i potem w ich obecności poprosiłby ją, by wyszła z nim na spacer lub przejażdżkę. A gdyby odmówiła, musiałyby wyjaśnić rodzinie powody.

- Niezły z ciebie manipulator - powiedziała lodowatym tonem. - Dziwię się, że nie spostrzegłam tego, gdy miałam szesnaście lat.

- Jestem zmęczony twoimi obelgami. - Jego głos był równie brutalny jak ucisk palców na ramieniu. - Porozmawiamy, a potem zostawię cię samą z twoim rozgoryczeniem, mała wróżko.

- Nie nazywaj mnie tak. Nie waz się mnie tak nazywać! - Palce Shane'a rozluźniły się i Wendy wyszarpnęła ramię z jego uchwytu.

Oboje byli zaskoczeni, gdy w jej oczach pojawiły się nagle łzy gniewu. Wendy odwróciła się, by odzyskać panowanie nad sobą. Myślała, że ponowne przeżycie wspomnień pomoże je zneutralizować. Próbowała zamknąć ten rozdział swej biografii i przez trzy dni prawie nie myślała o Shanie Reynoldsie, ale rany były za głębokie. Myliła się sądząc, że może wydobyć wspomnienia z podświadomości, obejrzeć je i unieszkodliwić. To ona, Wendy MacDonald, oddała ciało, serce i duszę mężczyźnie, który je odrzucił. Nie mogła traktować obojętnie tego, co niegdyś było dla niej wszystkim. Nawet jeśli minęło siedem lat, a ona nie była już podlotkiem z rozdartym sercem.

- Porozmawiamy, ale właśnie tutaj - powiedziała w końcu odwracając się, by spojrzeć Shane'owi w oczy. Wskazała mu drogę do jednego z pomieszczeń. - Tam jest sofa, na której możemy usiąść. Najpierw muszę zamknąć.

- Nawet nie chcesz patrzeć na mnie przy lunchu. - Shane pokręcił głową, obserwując jej kamienną twarz. - Aż tak bardzo nienawidzisz mnie, Wendy?

- Nie czuję do ciebie nienawiści, Shane. Ale nie mam ochoty ani na lunch, ani na tę rozmowę.

Nie oglądając się, poszła zamknąć sklep. Kiedy opuszczała żaluzje, włączała alarm przeciwwłamaniowy i chowała w sejfie najcenniejsze przedmioty, starała się przyzwyczać do obojętnego traktowania czekającego na nią mężczyzny. Jego obecność stanowiła ostry kontrast z atmosferą lawendowego pokoju, przyozdobionego lustrami, paprociami, delikatną porcelaną i szkłem. Niezależnie od tego, co myślała o Shanie Reynoldsie, był on człowiekiem o dominującej osobowości.

Wreszcie, nie mając już nic do roboty, musiała usiąść przy nim. Sofa była w istocie kozetką, którą pani Merritt zainstalowała na użytek znudzonych mężów swoich klientek. Żałując, że nie zdecydowała się raczej na lunch niż na tę wymuszoną intymność, Wendy usiadła blisko Shane'a, starannie obciążając spódnice na kolanach. Spodziewała się, że on zacznie.

- Jak długo tu pracujesz?

Miała nadzieję, że przejdzie od razu do *rzeczy*. Teraz stało się jasne, że rozgrywkę będą prowadzić uprzejmie, zmuszając się do potocznej towarzyskiej konwersacji. Na chwilę stłumiła urazę i starała się panować nad sobą. Była wciąż zła na siebie, że pozwoliła Shane'owi dostrzec swoje wzruszenie.

- Około pięciu lat. Uczyłam się w college'u, pracując tutaj parę godzin dziennie w czasie roku akademickiego i przez cały dzień w miesiącach letnich. Pracowałam także w pełnym wymiarze godzin przez rok między niższymi i wyższymi kursami college'u.

- Brzmi to bardzo ambitnie.

- To było konieczne. - Wendy wzruszyła ramionami. - Nikt nie zapukał do moich drzwi z propozycją stypendium. Ale, uzyskawszy pożyczkę rządową i pracę, dałam sobie radę.

- A teraz prowadzisz sklep?

- Tylko przez lato. Potem pojedę do Atlanty i jeśli mi się uda, przyjmę podobną posadę.

- Odwróciła się lekko, by widzieć twarz Shane'a.

- Dlaczego Atlanta?

- A dlaczego nie? - Szybko zmęczyła ją ta gadanina.

- Nigdy nie myślałem, że jesteś dziewczyną, którą ciągnie do wielkiego miasta.

- O, tego jestem pewna. - Pomyślała, jak niewiarygodnie naiwna okazała się wtedy, gdy widziała Shane'a po raz ostatni. Nie ma wątpliwości, że także jej bezpieczne wiejskie

dzieciństwo było częściowo odpowiedzialne za jej szaloną naiwność.

- Właściwie byłem pewien, że pozostaniesz tutaj, wyjdiesz za męża, założysz rodzinę.

- Powiedziałam ci już w niedzielę, że nic z tego.

Oczekiwała dalszych pytań, ale ich nie postawił. Po raz drugi w tym tygodniu zmuszona była znosić ciepło, promieniujące z ciała Shane'a, gdy siedział tak blisko niej. Nie mogła ścierpieć tej intymności, tak jak i pustej rozmowy przed chwilą, ale nie miała siły, by położyć temu kres. Czekwała z wymuszonym spokojem.

- Cieszyłbym się, gdybym mógł opowiedzieć ci, co sam robiłem.

Wendy wyczuła sarkazm, ale nie miała zamiaru przeproszać za swój brak zainteresowania. Milczała.

- Ukończyłem uniwersytet i znalazłem pracę na południe od Atlanty. Kierowałem plantacją bawełny.

- Wiedziałam, gdzie byłeś.

- Byłem tego pewny.

- Nowiny rozchodzą się szybko w naszym hrabstwie. Nawet jeśli nie chce się ich słyszeć. A więc, Shane, o czym mamy teraz rozmawiać?

Być może nie chciał przejść od razu do sedna sprawy, a może bawiło go, że ona musi zastanawiać się nad jego intencjami. Wstał i zaczął podziwiać kontuar zastawiony porcelaną.

- Czy lubisz tę pracę? - Tak.

- Pamiętam cię, kiedy byłaś małą. Kiedy w lesie bawiłaś się z innymi dziećmi i nagle znalazłaś coś: kamień, starą gałąź czy jakieś skromne leśne kwiaty, wiedziałem, że zaraz odejdziesz do domu, by zrobić z tego dekorację. - Shane wybrał małą figurkę dreźnieńską i gwizdnął cicho na widok ceny. - Teraz to już nie są kamienie i gałęzie.

- A ja nie jestem już małą dziewczynką.

- Nie byłaś nią także, gdy cię widziałem po raz ostatni. - Odstawił figurkę na ladę i zwrócił ku niej twarz. - Byłaś raczej młodą kobietą, która wiedziała, czego chce. Przez wszystkie te lata uważałaś mnie za łotra i zapomniałaś, co się naprawdę zdarzyło tej nocy?

Towarzyska swoboda, jaką Wendy osiągnęła w ciągu tych siedmiu lat nie zawiodła. Jej głos nie zadrżał.

- Nigdy nie wmawiałam sobie, że zasługujesz na całkowite potępienie. Narzucałam ci się, a ty postąpiłeś w sposób naturalny.

- A zatem, jeśli mnie nie potępiasz...

- Powiedziałam, że nigdy nie czułam, iż zasługujesz na całkowite potępienie. Nie powiedziałam, że nie mam ci nic do zarzucenia.

- Oboje popełniliśmy błąd, ale ja byłem starszy. - Shane skinął głową. - Powinienem wiedzieć lepiej.

- Czy to wszystko, co mi masz do powiedzenia? Bo, o ile sobie przypominam, powiedziałeś mi to samo tamtej nocy. Nie muszę tego wysłuchiwać po raz drugi.

Wyraz gniewu przemknął przez twarz Shane'a i Wendy spostrzegła, że jej opanowanie dotknęło go.

- Mówisz o tym wszystkim tak chłodno i z dystansem. Ale nie byłaś tak spokojna na parkingu przed kościołem, mała wróżko.

Drgnęła, słysząc to pieszczotliwe przezwisko, ale nie chciała znów żądać, żeby go nie używał. Robił to, aby wyprowadzić ją z równowagi.

- Czy już skończyliśmy, Shane?

Trzymał małą figurkę pasterki i gładził ją powoli czubkami palców. Miał ręce farmera, szerokie i silne. Wendy wiedziała, że jego palce stwardniały od ciężkiej pracy.

- Wczoraj zaniósłem rzeczy ojca na poddasze i otworzyłem starą skrzynię, by je schować. Była pełna takich właśnie figurek. Najwyraźniej moja matka je zbierała. Są tam także inne skrzynie. Jedna zawiera serwetki, które szydełkowała, druga - waterfordzkie kryształ. Całe życie mojej matki zostało zamknięte na poddaszu. Przez wszystkie te lata mogliśmy mieć jej cząstkę wśród nas.

Wendy nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby Shane podszedł i uderzył ją w twarz. Dzielił się z nią czymś zdumiewająco intymnym. Nawet jego głos zdradzał tęsknotę. Przez chwilę zapomniała, kim on jest i czym kiedyś byli dla siebie.

- Twój ojciec musiał odczuwać zbyt silny ból, by trzymać wokół siebie te pamiątki, Shane. Być może złożył te rzeczy na poddaszu dla ciebie, żebyś je odnalazł, gdy on także odejdzie.

Shane uśmiechnął się lekko.

- Czy to, twoim zdaniem, wygląda na Harnetta Reynoldsa?

- Właściwie nigdy nie znałam twojego ojca.

- To był twardy człowiek.

- Mój ojciec mówi, że złamałeś mu serce, kiedy opuściłeś miasto i nigdy nie wróciłeś. - Nie dodała, że odczuwała pewne pokrewieństwo z panem Reynoldsem, gdyż przydarzyło się jej to samo.

- Tylko ty i mój ojciec wiedzieliście, dlaczego nie wróciłem.

Ta odpowiedź była niejasna i zagadkowa. Wendy nie ukrywała zdumienia.

- Z pewnością tylko ja wiedziałam, co stało się tej nocy po balu. - Jej głos brzmiał

raczej twardo. - Ale i ja, podobnie jak inni, musiałam się głowić, dlaczego nie wracasz, Shane.

- Miałaś wszystkie informacje, jakie były konieczne, mała wróżko. - Shane zmrużył oczy. - Wyłożyłem ci je jasno i wyraźnie.

- Czyżby coś mi umknęło tej nocy? - Potrząsnęła głową. - Ostatnia rzecz, jaką mi powiedziałeś to to, że wrócisz, by się ze mną ożenić.

- Dobrze, grajmy dalej. - Shane roześmiał się gorzko. - Powiedz mi, jak myślisz, dlaczego nie wróciłem do ciebie?

- Ponieważ już dostałeś, czego chciałeś. - Wendy starała się zachować impertynencko, ale jej cierpienie przejawiało się wyraźnie w tych słowach.

- Nie do wiary. - Podszedł bliżej i przyglądał się jej z góry. - Byłaś młoda, ale myślałem, że jesteś bardziej dojrzała.

- Najwyraźniej myliłeś się.

- Czy myślisz, że tamtego roku gromadziłem kolekcję uwiedzionych niewiniątek? Czy myślisz, że po tamtej jednej nocy byłem już znudzony twymi wdziękami i zdecydowałem się przenieść na zieleńsze pastwiska? Jak mogłaś tak źle zrozumieć...

- Powiem ci, co myślałam. - Wendy odchyliła głowę i przerwała mu. - Myślałam, że jesteś pustym młodym człowiekiem, który nie zdawał sobie sprawy, że otrzymał niewiarygodnie cenny dar.

- Aż tak wysoką wartość przypisujesz dziewictwu!

Przymknęła oczy, by ścierpieć jego cynizm.

- Mówię o mojej miłości.

Shane umilkł.

- Idę do domu - rzekła otwierając oczy, ale unikając jego spojrzenia. - Oboje powiedzieliśmy za dużo. Siedem lat to bardzo długi okres, Shane. Nic nie zyskamy, rozważając ten jeden błąd, który popełniliśmy wspólnie.

Zdawało się, że nie usłyszał jej ostatnich słów.

- Miłość - powiedział cicho. - Gdybyś mnie kochała, musiałabyś mnie znać. Ani poczucie winy, ani skrucha nie powinny cię powstrzymać przed napisaniem do mnie.

- A skąd miałam wiedzieć, dokąd pisać?

- Z adresu na moich listach.

Jej umysł przestał funkcjonować. Pozostały tylko uczucia. Bezradnie spojrzała na Shane'a. Rozumiała jego słowa, ale nie była w stanie sformułować odpowiedzi.

- Listy? - To było wszystko, co umiała powiedzieć.

- Właśnie.

Nie była osobą, która obserwuje innych i bada motywy każdego ich postępu. Teraz przekonała się, że nie była zdolna odczytać sensu słów Shane'a. Doszła do jedyne­go możliwego dla niej wniosku, że kłamstwami próbował wkraść się w jej łaski. Nie mogła mu tego puścić płazem.

- Nie było żadnych listów - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Oczywiście, że były.

- Szukałam ich w skrzynce przez sześć tygodni po twoim wyjeździe. Nie było listów.

- Nie posyłałem ich na twój adres, ale do Mary Lee Bennett, ponieważ to była twoja najlepsza przyjaciółka. Wiedziałem, że jeśli pošlę je wprost do ciebie, rodzice będą pytali o nasze stosunki. Chciałem tego uniknąć.

Wendy wiedziała, że Shane jej się przygląda. Niesamowite, że mogła odczuwać jego spojrzenie, choć oczy miała wbite w przeciwną ścianę.

- Nie było listów - powtórzyła tym samym bezbarwnym tonem.

- Nazywasz mnie kłamcą.

Przez chwilę zastanawiała się, jakby to było, gdyby mu uwierzyła. Gdyby udawała, że Shane'owi zależało na niej, że usiłował się z nią skomunikować? Czy mogłoby to cokolwiek zmienić? Minęło siedem lat. Oboje się zmienili. Ale jak by to było, gdyby mu uwierzyła?

- Kłamca to twoje określenie, Shane. Mówię ci to, o czym wiem, że jest prawdą. Nigdy nie otrzymałam listów. - Zatrzymała się i dodała: - Gdybyś je wysłał, musiałabym je dostawać.

- Możliwe, że to ty kłamiesz. - Słyszała w jego głosie z trudem opanowaną wściekłość.

Każde słowo było jak ciężki kamień, przed którym nie mogła się uchylić. Nie rozumiała, dlaczego chce przedłużać tę farsę. Wstała, ale zastąpił jej drogę.

- Czy byłaś aż tak obrażona tym, co stało się między nami, że udawałaś, iż nic w ogóle się nie stało?

- Tak, byłam obrażona - powiedziała spokojnie, z oczyma utkwionymi w punkt znajdujący się ponad jego lewym ramieniem. - Byłam obrażona, bo oddałam ci się z całą głupią miłością, jaką mogłam ofiarować. - Wreszcie podniosła oczy na jego twarz. - Ale teraz już nie czuję obrazy. Po prostu jestem zmęczona tą dyskusją.

- Napisałem do ciebie z tuzin listów.

- Nie wdzieraj się z powrotem w moje życie przy pomocy masy kłamstw, mających unieważnić siedem lat milczenia.

- Więc nie chcesz usłyszeć prawdy? Z jakiej racji chcesz wierzyć, że porzuciłem cię bez wahania?

Wendy wiedziała, że teraz powinna się odwrócić, odnaleźć parasolkę i wyjść. Ale

siedem lat milczenia wymagało, by powiedziała Shane'owi, co rzeczywiście o nim myśli.

- Myślę, że jesteś zdrajcą, tak jak zawsze mówili ludzie z miasta. Kiedy mnie opuściłeś, przejawiałeś moralność lisa w kurniku. A co by było, gdybym zaszła w ciążę, Shane? Czy wiesz, co by to znaczyło dla mojej rodziny? Dla mojego życia?

Podszedł bliżej, tak że między nimi nie było wolnej przestrzeni.

- Czy myślisz, że ja się tym nie martwiłem? Myślałem, że skoro nie odpowiadasz na moje listy, jesteś w ciąży i rodzice zabronili ci kontaktować się ze mną.

- Nie było dziecka. - Wendy powoli potrząsnęła głową.

- Sam się o tym dowiedziałem. Mieliliśmy szczęście.

- Tak. - W śmiechu Wendy nie było wesołości. - Mieliliśmy, choć wówczas najbardziej na świecie pragnęłam mieć kiedyś twoje dziecko. Wyobraź to sobie.

- Wendy... - Głos Shane'a złagodniał, jakby wzmianka o ich dziecku powściągnęła jego gniew. Oparł ręce na jej ramionach. - Nie wiem, dlaczego nie dostałaś moich listów, ale mam zamiar się dowiedzieć.

- Nie rób sobie kłopotu. - Cofnęła się o krok, strząsając jego ręce. - Nie próbuj pokrywać kłamstw kłamstwami. Jeśli chodzi o mnie, przestałam wracać do przeszłości. Porozmawialiśmy, a teraz idę do domu.

- Jesteś pustą skorupą po tym, czym byłaś kiedyś. Jesteś tak pusta w środku jak jedna z tych chińskich figurek. - Shane mówił cicho, a smutek w jego głosie złamał obronną postawę Wendy.

- Dobrze mnie określiłeś. - Po raz pierwszy głos jej zadrżał. - Jedna noc w twoich ramionach wszystko mi odebrała. Ale już nikt mnie nigdy nie skrzywdzi, Shane. Muszę ci chyba podziękować, gdyż uodporniłeś mnie na ciosy.

- Nie dziękuj mi, mała wróżko. Sama jesteś odpowiedzialna za to, co się z tobą stało. - Patrzył jej w twarz zapinając z wolna wiatrówkę. - To jest niewielkie hrabstwo. Z pewnością będziemy wpadać na siebie.

Wendy wzruszyła ramionami.

Shane kiwnął głową, odwrócił się i zniknął w przedsionku. Wendy usłyszała trzaśnięcie drzwi wyjściowych na zapleczu. Była sama.

Z utęsknieniem oczekiwała ulgi, która jednak nie nadchodziła. A przecież wszystko ostatecznie minęło. Nie będzie już więcej kłamstw ani oskarżeń. Nawet jeśli wpadną jeszcze na siebie, nie będą mieli o czym mówić. Ostatecznie i nieodwołalnie skończyli ze sobą.

Ale dlaczego wewnętrzny głos wciąż nalegał, by sprawdziła, czy Shane dzisiaj mówił prawdę? Jeśli rzeczywiście odrzuciła przeszłość, dlaczego miała obezwładniające wrażenie, że

nie ufając Shane'owi popełniła następny katastrofalny błąd, którego konsekwencje mogą trwać dłużej niż siedem lat.

- Jesteś wciąż sentymentalną wariatką, Wendy MacDonald - mruknęła do siebie, patrząc na ledwie widoczne rysy na suficie. - Ale tym razem przynajmniej nie pozwolę działać ci po wariacku.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W dwa tygodnie po spotkaniu z Shane'em Wendy rozkoszowała się ciepłym prysznicem, układając plan dnia. Ponieważ była to środa, miała pracować w sklepie tylko rano. Kusily ją różne możliwości wykorzystania wolnego popołudnia. Wahala się między wyjazdem do Atlanty, by przed ostateczną przeprowadzką obejrzeć nieznane dzielnice miasta, oraz wycieczką z przyjaciółmi do Lake Lanier Islands - pobliskich terenów rekreacyjnych.

Była już parę razy w Atlancie. Lubiła ożywione centrum i rodzinną atmosferę oddalonych przedmieść, ale najbardziej odpowiadały jej strefy pośrednie, gdzie mieszkali, robili zakupy i na ogół cieszyli się życiem młodzi, nieźle zarabiający, wysoko kwalifikowani specjaliści różnych zawodów. Chciała żyć wśród nich, korzystając ze wszystkich szans, jakie mogło ofiarować miasto.

Wendy, nie wiedząc jeszcze wciąż na co się zdecydować, wytarła się do sucha ręcznikiem i poszła po ubranie. Nie była przyzwyczajona do posiadania osobnego pokoju. Dzieliła go kiedyś z Sandy i Stacey, dopóki nie opuściły domu. Były jej najlepszymi przyjaciółkami. Nawet Mary Lee Bennett, z którą przyjaźniła się blisko w szkole średniej, tyle dla niej nie znaczyła.

Przez długi czas nie myślała o Mary Lee, aż do chwili, gdy Shane oświadczył, że to na jej adres przysyłał listy do Wendy. Mary Lee przeprowadziła się do Atlanty w połowie ostatniego roku szkolnego i odtąd rzadko ze sobą korespondowały. Wendy wiedziała, że M.L., jak ją zawsze nazywano, wyszła za mąż i miała teraz małe dziecko.

Shane Reynolds podstępnie wdarł się znowu w życie Wendy. Nie widziała go i nie słyszała o nim od tego deszczowego ranka w „Melanżu”, ale różne drobiazgi przypominały nieustannie o jego obecności. Często zupełnie niewinne skojarzenie prowadziło ku jego osobie.

W domu MacDonalldów każdy powinien sam robić sobie śniadanie, choć nie zawsze odpowiadało to rzeczywistości, gdyż mężczyźni byli na tyle przywiązani do tradycji, by oczekiwać, że kobiety przygotują im posiłek. One zaś w odwecie często schodziły na dół dopiero wtedy, gdy ostatni naburmuszony mężczyzna usmażył sobie jajka. Jedyny wyjątek stanowiła pani MacDonald, która z radością gotowałaaby wszystko dla uwielbianego męża. Ale i ona odmawiała obsługiwanie licznych synów. Tego ranka Wendy przed wejściem do kuchni nadsluchiwała dźwięku męskich głosów. Szczękały już widelce i talerze, więc wiedziała, że nie będzie musiała bronić swych kobiecych praw. Najwyraźniej już jedli.

- Dzień dobry wszystkim. - Nie czekając na odpowiedź, podeszła do pieca, by nalać sobie kawy. - Jak się macie?

- Dzień dobry, kochanie - powiedział pan MacDonald. - Mamy gościa na śniadaniu.

Wendy sama już to spostrzegła. Shane Reynolds siedział między jej ojcem a Jennifer. Wendy skoncentrowała całą swoją uwagę na połykaniu parującego, gorzkiego napoju, zanim wreszcie przemówiła.

- Halo, Shane - odezwała się tak uprzejmie, jak potrafiła.

Wyglądał na całkowicie zadomowionego przy stole MacDonaldów. Tak było zawsze.

- Halo, Wendy.

- No to idę do pracy - rzekła, starannie odstawiając filiżankę. - Mam trochę rachunków do zrobienia przed otwarciem sklepu.

- Nie jadłaś jeszcze śniadania - upomniał ją pan MacDonald. - Przygotuj sobie coś i chodź do nas.

- Czy ktoś tu próbuje wyjść bez jedzenia? - Eldora MacDonald zakrzętnęła się koło kuchni z miną nieubłaganą.

- Ja naprawdę muszę iść - powtórzyła Wendy dostrzegając, że Shane krzywi usta w drwiącym uśmiechu. Zdała sobie sprawę, jak czytelne było jej zachowanie.

- Ale nie z pustym żołądkiem.

- Już to sobie wyobrażam. Kiedy przeprowadzę się do Atlanty, codziennie na siódmą rano zamówię międzymiastowe budzenie i wykład o porannym odżywianiu. - Wendy wsypała płatki do plastikowej miseczki i zalała je mlekiem. W czasie tej rozmowy udało jej się nie spotkać wzrokiem oczu Shane'a. Wołała jednak nie unikać go ostentacyjnie i nie urządzać sceny. Zgodziła się więc z całym spokojem, na jaki mogła się zdobyć, zając ostatnie miejsce przy niewielkim stole.

- A więc, Shane - powiedziała, wiedząc że oczekuje się od niej uprzejmości - co cię tu dziś sprowadza?

Natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd. Jej pytanie zabrzmiało niemal wrogo. Uświadomiła sobie, że ta gra jest być może ponad jej siły.

- Twój ojciec mnie zaprosił.

- Shane pomaga mi naprawić traktor.

Wyglądało na to, że Wendy nie może się powstrzymać.

- A czy James i Randy nie mogliby zrobić tego w czasie weekendu? Przecież przyjadą do domu z uniwersytetu, prawda?

- Poczekaj, aż zobaczysz bliźniaków, Shane - powiedziała pani MacDonald, przynosząc

dzbanek, by dolać kawy mężowi i gościowi. - Kiedy widziałeś ich ostatnio, nie byli nawet nastolatkami, a teraz to już dorośli mężczyźni.

- Prawdopodobnie potrafiliby to naprawić - odparł pan MacDonald. Przechylił się do tyłu i patrzył na córkę ostrzegawczo spod lekko uniesionych brwi. - Ale traktor jest mi potrzebny zaraz.

- Za to twój ojciec przyjedzie do mnie i pomoże mi ocenić, czy można przestawić część moich gruntów na uprawy ekologiczne. Najwyższy czas, żeby ktoś w okolicy docenił tę ideę! - Jennifer nadstawiła uszu przy słowach Shane'a.

W rodzinie pełniła funkcję idealistki, łącząc wegetarianizm, kult zdrowej żywności, jogę i medytację w północnogeorgiańskiej wersji południowokalifornijskiej filozofii. Poprzedniego lata nalegała, by ręcznie oczyszczać warzywa ze szkodników i uprawiać ogród bez używania środków trujących. Pan MacDonald musiał w końcu interweniować, bo żywność, która miała starczyć na całą zimę, zaczęła znikać w owadzych brzuskach.

Shane uśmiechnął się w dobrze znany Wendy sposób. Odkąd ponownie wszedł w jej życie, nie widziała jeszcze tego uśmiechu, który zmieniał jego twarz z poważnej w promieniejącą. Zwrócił się do Jennifer, wpatrzony w niego z żarliwą uwagą ucznia - wyznawcy.

- Czy wiesz coś o uprawach ekologicznych?

- Czytałam wszystko, co mi wpadło w ręce. Wszystko! Próbowałam przekonać tatę, ale on woli truć owady.

- Czy to prawda, Raymondzie? - droczył się Shane. - Jesteś dyplomowanym mordercą owadów?

Wendy przysłuchiwała się żartobliwej rozmowie. Kiedy mówili o ziemi i najlepszych sposobach uprawy, zauważyła zaskoczona, że Shane łatwo włączył się w ich życie. Życie wszystkich, ale nie jej. Rodzice traktowali go jak kochanego syna, a Jennifer widziała w nim obrońcę jej ideałów. Siedząc na miejscu, gdzie przedtem siadywał wielokrotnie, Shane uspokoił się i rozluźnił. Czuł się jak u siebie w domu.

- Teraz naprawdę muszę pędzić - oświadczyła Wendy wstając. Nie chciała zostać ani minuty dłużej i dręczyć się wizją życia, o jakim marzyła, gdy miała szesnaście lat i duszę pełną złudzeń.

- Odprowadzę cię do wozu. - Shane także wstał. Przez chwilę zdawało się, że są zupełnie sami w kuchni.

- Nie fatyguj się - powiedziała Wendy, ostro akcentując każdą sylabę. Była wstrząśnięta jego zuchwałością. Od strony zlewu, gdzie matka zmywała naczynia, dobiegło

wyraźnie westchnienie. Wendy wiedziała, że się zdradziła. Spróbowała złagodzić swoje słowa.

- Wiem, że ty i ojciec jesteście zajęci.

- Tak, jestem gotów, jeśli chcesz, Shane. - Twarz pana MacDonalda była zachmurzona, kiedy podniósł się i stanął obok Shane'a.

Wendy zaskoczyły wyrzuty sumienia z powodu własnej szorstkości.

- Po południu pojedę do Atlanty – powiedziała przerywając ciszę. - Nie czekajcie na mnie z kolacją.

- Baw się dobrze - rzuciła chłodno pani MacDonald. - Zobaczymy się, kiedy wrócisz.

Wendy wyszła, rozumiejąc, co znaczyła ostatnia uwaga matki: jej żądanie, by po powrocie do domu wyjaśniła swoje zachowanie.

Nieważne, o której to będzie godzinie - wiedziała, że Eldora MacDonald zaczeka, by z nią porozmawiać.

Wendy bardzo sobie ceniła anonimowość zamieszkiwania w dużym mieście. W domu żyła w najściślejszym związku z rodziną i nic nie mogło pozostać jej prywatną sprawą. W wiejskich okręgach hrabstwa Hall sąsiedzi, często zresztą spokrewnieni, choć oddaleni nieraz od siebie o dziesiątki kilometrów, zawsze wiedzieli wszystko o wszystkich. Tymczasem w Atlancie miała niewielu znajomych. Każdy miał swoje życie i Wendy cieszyła się poczuciem swobody, tak nowym na tle jej dotychczasowych doświadczeń.

W Atlancie było tyle rzeczy do zrobienia: chciała obejrzeć restauracje i sklepy, zwiedzić muzea, powoli poznawała najważniejsze dzielnice miasta. Wiedziała już, że chętnie by zamieszkała w wielu z nich. Ale ponieważ i tak musiała czekać z przeprowadzką do końca lata, więc bez pośpiechu oddawała się przyjemności zwiedzania.

W środę po południu objechała dzielnicę zwaną Little Five Points, zjadła obiad w jarskiej restauracji, która przypadłaby do smaku Jennifer, i wróciła do śródmieścia, by udać się do domu. Jechała wolno, rozmyślając nie o fryzurach i dziwacznych strojach spotkanych właśnie punków, lecz o czekającej ją rozmowie z matką.

Eldora MacDonald nie pozwalała żadnemu ze swoich dzieci na nieuprzejmość. Było nie do pomyślenia, by w ich domu ktoś mógł szorstko potraktować gościa. Wendy wiedziała, że tego ranka jej ostentacyjna wrogość wobec Shane'a została w pełni dostrzeżona.

Często myślała, że powinna zwierzyć się matce, gdy miała szesnaście lat, ale wtedy jeszcze nie potrafiła mówić o tym, bojąc się, że matka zwróci się przeciwko niej. Teraz już wiedziała, że nie miała racji. Eldora MacDonald kochała dzieci miłością bezwarunkową i wybaczącą. Niemniej było już za późno na wyznania.

Wendy zaparkowała swój mały wóz za rodzinną przyczepą i wysunęła się powoli zza kierownicy. Było już tak późno, że pogaszono światła w całym domu z wyjątkiem bawialni. Ponieważ rodzina chodziła spać i wstawała wcześniej, Wendy miała przez chwilę nadzieję, że wymknie się domowej inkwizycji. Jednak gdy weszła na frontową werandę, dostrzegła zarys głowy matki, oświetlonej słabym blaskiem, padającym przez okno bawialni. Eldora MacDonald siedziała w fotelu na biegunach i bez słowa wskazała córce miejsce obok siebie. Wendy usiadła i w milczeniu zaczęła się kołysać czekając, aż matka zacznie mówić.

- Nie wiedziałam...

Wendy nie spodziewała się tych słów. Nie umiała znaleźć odpowiedzi.

- Zawsze podejrzewałam, że w przeszłości miałaś przykre doświadczenia z jakimś mężczyzną, ale nigdy nie domyślałam się, że to był Shane Reynolds. Uwielbiałaś ziemię, po której stapał.

- Byłam niemądra.

- Może nie tak bardzo - odpowiedziała pani MacDonald po chwili zwłoki. - Shane to chłopak szalony, ale dobry, mimo swego prowokującego zachowania. Nikt go nigdy nie kochał, przynajmniej w czasie, który mógł zapamiętać. Po śmierci matki ojciec odsunął się od niego. Shane ma w sobie wiele miłości, którą mógłby dać właściwej kobiecie.

- Nie jestem tą właściwą kobietą.

- Czy chcesz mi o tym opowiedzieć? - Fotel pani MacDonald skrzypiał, kołysząc się powoli w ciemnościach.

- Nie teraz. Jest za późno.

- Musiałaś być wtedy bardzo młoda. Shane'a siedem lat nie było w domu.

- Wiem.

- A więc i on był bardzo młody, a ty nie możesz mu wybaczyć. To niepodobne do ciebie, Wendy. Nigdy nie byłaś małostkowa. Kiedy twoje rodzeństwo było gotowe rozwalić dom swoimi kłótniami, ty trzymałaś się od tego z dala, nie przywiązując wagi do cudzych słabostek. - Pani MacDonald przestała się kołysać i wzięła córkę za rękę. - Cokolwiek to było, kochanie, musisz o tym zapomnieć.

- Zapomniałam wiele lat temu. Ale widok Shane'a wszystko mi uprzytomnił. Nie jestem zadowolona ze swego przewrażliwienia. - Wendy również przestała się kołysać.

- Zawsze myślałam, że byłoby dobrze, gdybyś miała trochę więcej wrażliwości.

- To brzmi jak nagana. - Słowa matki zabołały ją.

- Nie przepadam za postawą nieprzeniknionej, wyrafinowanej rezerwy, którą starałaś się w sobie wyrobić. Czasem zastanawiam się, czy pod tą powłoką kryje się jeszcze moja

Wendy.

Wendy gwałtownie zaczerpnęła tchu. Nigdy dotąd nie wyczuła tyle dezaprobaty w głosie matki.

- To boli - powiedziała. - To bardzo boli.

Noc otulała je czarną zasłoną. Siedziały w milczeniu czekając, aż ustanie ból, który ta krytyka sprawiła im obu. Gdy pani MacDonald odezwała się znowu, tylko głos zdradzał jej smutek oraz nieuchronną konieczność tej rozmowy.

- Jesteś bardzo podobna do mnie. Wiedziałaś o tym? - Nie czekała na odpowiedź. - Sandy i Jennifer to córki tatusia, a Sara? Cóż, Sara jest Sarą. - Zatrzymała się jak gdyby szukając słów. - Stacey jest podobna do mnie w swej miłości do dzieci, ale ty najbardziej mnie przypominasz, jeśli chodzi o stosunek do świata.

- Nigdy o tym nie pomyślałam.

- Czy wiedziałaś, że tata omal nie ożenił się z kimś innym?

Wendy była zdumiona. Jak wszystkie dzieci MacDonaldów, wyobrażała sobie, że ich rodzice kochali się od dzieciństwa.

- Nie...

Pani MacDonald roześmiała się z jej niedowierzania.

- To prawda. Byłam ślepo zakochana w Raymondzie MacDonalddie od chwili, gdy dorosłam na tyle, by rozumieć, co to słowo znaczy. Ale czy sądzisz, że on o tym wiedział? Uważał mnie za natrętą małą siostrzyczkę. Nasi ojcowie przyjaźnili się i gdy twój dziadek zabierał mnie na farmę twego taty, byłam w siódmym niebie.

Wendy słyszała o tej historii coś niecoś, ale oczywiście nie wszystko.

- Kiedy pojawiła się ta druga kobieta?

- Twój tata był zadurzony po uszy w córce pastora. To było skromniutkie stworzonko, trzymające rączki wiecznie założone i bojące się pobrudzić sukieneczki. Miałam ochotę wydrapać jej oczy, gdy dowiedziałam się, że chodzą z sobą. A potem pewnej niedzieli ogłoszono w kościele ich zaręczyny. Myślałam, że umrę.

- Wyobrażam sobie. - Wendy nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia.

- Było mi wszystko jedno, czy umrę, czy będę żyła. Nie mogłam nawet się zmusić do uprzejmego zachowania wobec nich. A gdy moje cierpienie się wypaliło, popadłam we wściekłość. Postanowiłam sobie, że jeżeli Raymond zmieni kiedyś zdanie i zwróci się ku mnie, to nigdy za niego nie wyjdę.

- I co?

- I właśnie tak zrobił. Córka pastora była dla niego za wielką skromnisią i czyścioszką.

Zerwał zaręczyny i po przyzwoitej przerwie poprosił mnie o randkę.

- Tata zawsze miał wiele rozsądku.

- Ale ja go nie miałam. Orzekłam, że skoro przedtem mnie nie chciał, to i teraz mnie nie dostanie. Nie zgodziłam się na spotkanie. Pragnęłam go ukarać raniąc siebie.

- Zaczekaj chwilę... - nagle Wendy dostrzegła analogię.

- Omal znowu go nie straciłam - pani MacDonald nie zwróciła na nią uwagi. - Gdy odrzuciłam propozycję randki, twoja babka kazała mi usiąść i powiedziała bardzo wyraźnie, że jestem głuptasem. Jeśli nie potrafię wybaczyć twemu tacie jednej omyłki, to znaczy, że na niego nie zasługuję.

- To nie to samo. Chciałabym, aby rzeczy miały się tak prosto.

- Dla mnie też to nie było proste. Gdy zdałam sobie sprawę, jak głupia jest moja duma, on się już zupełnie zniechęcił. Aż pewnego wieczora znaleźliśmy się razem na parafialnym przyjęciu, na które każda kobieta miała przynieść własne ciasto, by je potem wystawić na licytację na cel dobroczynny. Upiekłam jego ulubione ciasto z jeżynami, ale on nie miał nawet zamiaru stanąć do licytacji. Właśnie kiedy inny mężczyzna miał zdobyć ciasto i mnie wraz z nim, zeszedł z estrady i stanęłam przed tatą. „Zacznij licytować to ciasto! - powiedziałam mu. - Albo przysięgam, że ci je rozsmaruję na twarzy”.

Wendy pomyślała, że jeśli ta scena tak wyglądała, to z pewnością matka po raz ostatni rozżłościła się wówczas na mężczyznę, z którym żyła później ponad trzydzieści lat.

- No i co, stanął do licytacji?

- Wygrał ciasto i mnie wraz z nim. Ale nie doszło by do tego, gdybym nie miała dość rozumu, aby mu wybaczyć.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Siedemnaście. Pobraliśmy się w rok później. Zakochałam się szybko i gwałtownie, i to się nigdy nie zmieniło. Pod tym względem jesteś również do mnie podobna.

- Nie jestem zakochana w Shanie Reynoldsie. Wprost przeciwnie.

- Jakbym słyszała siebie samą, mówiącą o twoim ojcu. - Pani MacDonald zaczęła naśladować ton Wendy: - „Nie jestem zakochana w Raymondzie MacDonalddie”. - Pogłaskała córkę po ramieniu. - Nie wiem, co zaszło między tobą a Shane'em i, szczerze mówiąc, chyba nie chcę wiedzieć. Ale jestem pewna, że nie będziesz w stanie nikogo pokochać, dopóki nie zakończysz swoich nieporozumień z tym chłopcem. - Wstała i wyciągnęła rękę do Wendy. - Pomyśl o tym.

Wendy podnosząc się pochwyciła dłoń matki.

- Będę za tobą tęsknić, gdy wyjadę do Atlanty.

- Ja też. Zawsze miałam nadzieję, że zamieszkaś bliżej. Nie podoba mi się myśl, że będziesz tak daleko.

- Atlanta nie leży daleko. - Wendy uśmiechnęła się w ciemnościach. - Mogę dojechać do domu w ciągu dwóch godzin.

- Ale nie będziesz przyjeżdżać. - Pani MacDonald pogłaskała rękę córki, potem puściła ją. - Tylko nie zapominaj, kim jesteś, kochanie.

- Nie zapomnę. Jeśli potrafię się tego dowiedzieć.

Kiedy Wendy rozmyślała później o tej rozmowie z matką, zrozumiała jedną ważną dla siebie rzecz. Eldora MacDonald domyślała się, do jakiego zbliżenia doszło między Shane'em a jej córką, a jednak nie potępiła ich obojga za młodzieńczą lekkomyślność. Była pewna, że matka zareagowałaby odmiennie, gdyby chodziło o innego mężczyznę. Ale Eldora i Raymond kochali Shane'a jak jednego z własnych synów. Gdy był dzieckiem i kilkunastoletnim wyrostkiem, próbowali dać mu miłość i opiekę, których rozpaczliwie potrzebował. Nawet i teraz, mimo otwartej niechęci córki, stali po jego stronie. Wendy wiedziała, że Shane bywał często w ich domu. Ale ponieważ wpadał do nich tylko za dnia, kiedy ona pracowała w „Melanżu”, łatwo mogła go unikać. Aż do pewnego wieczora, w dwa tygodnie po rozmowie z matką.

Wendy miała ciężki dzień. Urządziła wyprzedaż wybranych przedmiotów ze sklepu i w rezultacie miała do czynienia z tłumem kupujących. Była zupełnie wyczerpana, kiedy nadeszła szósta i mogła wreszcie opuścić żaluzje oraz zaryglować drzwi. Nic jej nie pociągało bardziej niż spokojny wieczór i wczesne pójście do łóżka. Jednak gdy wróciła do domu, okazało się, że w najlepsze toczy się tam przyjęcie.

Państwo MacDonald zdecydowali się nagle zaprosić sąsiadów na barbecue. Shane był jednym z gości. Stał obok Jennifer w grupie zaproszonych i wyglądał na zupełnie zadowolonego. Tak, jakby nigdzie nie wyjeżdżał i nigdy nie złamał jej serca.

Był to piękny wieczór, jasny i chłodny, zapowiadający cudowny zachód słońca. Kiedy indziej byłaby to duża przyjemność dla Wendy, która wiedziała, że wkrótce znajdzie się zbyt daleko, by brać udział w takich improwizowanych zabawach wiejskich, ale wyczerpanie i obecność Shane'a zmały jej zwykłą pogodę.

- Wyglądasz na zmęczoną, złotko. Idź się przebrać i zjedź na dół, na kolację - rzuciła Eldora, przechodząc obok córki, która stała z boku, zastanawiając się, czy w zamieszaniu uda jej się niepostrzeżenie wymknąć.

- Ja naprawdę wolałabym iść na górę do łóżka. Co to był za dzień.

- Ale to byłoby niegrzeczne, prawda? - Pani MacDonald użyła swego najbardziej przekonującego tonu, który budził lęk w jej dzieciach, niezależnie od ich wieku.

- Na pewno? - Wendy uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Tak.

Początkowo udało jej się omijać Shane'a. Tyle było zaproszonych, że łatwo mogła poruszać się nie wpadając na niego. Ale wkrótce zdała sobie sprawę, że unikanie go nie było najlepszym pomysłem. Przez cały wieczór Jennifer nie opuszczała go ani na krok. Wendy wiedziała, że młodsza siostra jest całkowicie oczarowana jego towarzystwem, pamiętała zaś aż za dobrze, jakie wrażenie może wyrzucić Shane na dziewczynie w wieku Jennifer.

Zaczęła mu się przyglądać, szukając dowodów na poparcie swych podejrzeń. A gdy wreszcie zobaczyła, jak Shane na chwilę przytulił siostrę, która zaraz potem przeszła do innej grupy, zapłonęła gniewem. W mgnieniu oka znalazła się przy nim.

- Czy mogę z tobą pomówić, Shane?

- Halo, Wendy. - Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Zastanawiałem się, czy będziemy mieli okazję po gadać dzisiaj. - Przeprosił swoje towarzystwo i wziął Wendy pod rękę. - Dokąd pójdziemy? - spytał, gdy oddalili się trochę od tłumu.

Wendy strząsnęła jego rękę z ramienia i ruszyła w kierunku matczynego rozarium. Shane szedł obok. Dopiero na miejscu odwróciła się do niego i powiedziała wprost:

- Trzymaj się z daleka od Jennifer, Shane. Jeśli nie, powiem ojcu o nas, a zapewniam cię, że Raymond MacDonald nie jest skłonny do tolerancji, gdy chodzi o jego bezcenne córki.

Wyraz twarzy Shane'a, kiedy zrozumiał sens jej słów, stał się wprost przerażający. Zazwyczaj potrafił trzymać na wodzy swoje emocje. Tym razem był o krok od utraty panowania nad sobą.

- Powiedz ojcu, co ci ślina na język przyniesie. Jest twoim ojcem, ale także i mężczyzną. Ja mu odpowiem, że kiedyś popełniłem bardzo ludzki błąd wobec jego córki i że wiele razy próbowałem go naprawić, ale ona wyrzuciła mnie ze swojego życia. Nie doceniasz Raymonda, jeśli przypuszczasz, że nie zrozumie.

- Nie tykaj mojej siostry. - Wendy, zdecydowana postawić na swoim, ledwie słuchała Shane'a.

Jego ręce, ciężkie jak ołów, opadły na jej ramiona.

- Ty mała wariatko! Ona ma tylko piętnaście lat!

- A, racja. Wolisz, kiedy one są o rok starsze, prawda?

Chwycił ją za ramiona, wpijając w nie palce jak szpony i potrząsnął nią z wściekłością. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i żalu. Nie miała pojęcia, że potrafi go tak złośliwie

zaatakować ani że on zareaguje aż tak brutalnie na jej słowa.

- O Boże, Wendy! - Nagle puścił jej ramiona i wziął ją w objęcia, przytulając do piersi.

- Wybacz mi, wybacz.

- Shane... - próbowała coś powiedzieć.

- W całej rodzinie MacDonaldów jest tylko jedna kobieta, której zawsze pragnąłem.

Tylko jedna - rzekł ze strasznym wysiłkiem.

Wendy miała oczy pełne łez, choć nie umiałyby określić, czy to z gniewu, z bólu, czy ze skruchy. Wiedziała przez cały czas, że Shane nie uwodzi jej siostry, a jednak sama doprowadziła się do wściekłości z powodu jego niewinnej sympatii dla Jennifer. Wszystko to płynęło z rozgoryczenia.

Podniosła głowę, by spojrzeć na niego, by powiedzieć, że żałuje. Mogła widzieć z bliska delikatne bruzdy, jakimi naznaczyło jego twarz siedem minionych lat. W półmroku oczy jego połyskiwały jak srebro, a skóra jak wypalona miedź. Był wspomnieniem i rzeczywistością - wszystkim, Shane'em.

A kiedy pochylił głowę i delikatnie przycisnął usta do jej warg, ona była jedynie sobą, Wendy, kobietą, która ani przez chwilę nie przestała go pragnąć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie miałem zamiaru tego zrobić, tak jak nie chciałem szarpać się z tobą.

Shane opuścił ręce, zamierzając się odsunąć, ale Wendy wciąż go obejmowała. Nie mogła pozwolić, by się poruszył, gdyż musiałyby znów przyjąć postawę obronną, ukryć uniesienie malujące się w jej oczach. Na chwilę znów ją przygarnął.

- Wendy...

- Dlaczego mnie porzuciłeś, Shane? Powiedz prawdę.

Poczuła, jak westchnął.

- Tej nocy po balu odwiozłem cię do domu i wróciłem do siebie. Tymczasem przyjechał mój ojciec. Kiedy nas nie było, zadzwonił ojciec Beverly Hansen. Był wściekły. Podobno Beverly przyszła po balu pijana, w podartej sukni i powiedziała swemu ojcu, że to moja wina. Myślę, że bała mu się przyznać, że zmieniła partnera i włóczyła się z dygnitarskim synkiem po opustoszałej drodze. W każdym razie pan Hansen zagroził ojcu, że wniesie oskarżenie, jeżeli nazajutrz rano nie opuszczę miasta.

- Och, Shane. - Wendy stała z głową lekko opartą o jego pierś. Nagle poczuła zmęczenie większe niż kiedykolwiek.

- Ojciec znalazł na podłodze przy sofie wieczorową torebkę, twoją torebkę, ale był przekonany, że należy do Beverly i to stanowiło dla niego wystarczający dowód. Nie mogłem mu powiedzieć prawdy, gdyż bałem się, że zabrzmiał jeszcze gorzej.

- I wyjechałeś.

- Wtedy po raz ostatni widziałem ojca. W parę lat potem Beverly przyszło do głowy, by mu wyznać prawdę. Napisał do mnie suchy, formalny list z zawiadomieniem, że zostałem oczyszczony z zarzutów, ale nigdy nie zaprosił mnie znów do domu.

Wendy odsunęła się trochę, a Shane pozwolił jej na to.

- A więc to przeze mnie zerwałeś z ojcem. Nie dziwię się, że już nie chciałeś mnie widzieć.

- Nigdy cię o to nie obwinałem. Napisałem do ciebie z tuzin listów, wyjaśniając, dlaczego nie mogę zaraz przyjechać i spotkać się z tobą. Wiedziałem, że po jakimś czasie cała sprawa pójdzie w zapomnienie i wtedy będę mógł wrócić. Zażądam konfrontacji z Beverly, skłonię ją do powiedzenia prawdy, a potem ożenię się z tobą i będziemy odtąd żyć długo i szczęśliwie. - Głos mu się załamywał, co próbował zatuszować drwiną.

- Nigdy nie dostałam żadnych listów.

- Wiem. I jesteś przekonana, że ich nie pisałem.

Wendy dostrzegła stalowy błysk w srebrnej głębi jego oczu. Chciała mu wierzyć, wiedziała, że musi to zrobić, jeśli cokolwiek dobrego ma wyniknąć z ich przeszłości. Nie była jednak w stanie mu zaufać. Zbyt wiele lat przeszło, zbyt wiele łez wylała, zbyt wiele snuła teraz nowych planów.

- Nie wiem, w co mam wierzyć - powiedziała w końcu.

- A czy czujesz to jeszcze?

Wiedziała, o czym mówi, ale próbowała zyskać na czasie.

- Czy czuję co?

- Czy jeszcze czujesz to, co było między nami, kiedyśmy się całowali? Czy wiesz, jak bardzo chciałem o tobie zapomnieć, jak bardzo chciałem cię znienawidzić za to, że twój obraz na zawsze naznaczył moje życie?

- Shane...

- Nic nas nie rozdzieli, dopóki mi ufasz. Nic dobrego nie wyniknie z podejrzliwości.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- W zeszłym roku o mało się nie ożeniłem. Córka właściciela plantacji, którą wtedy kierowałem, miała na to ogromną ochotę, ale ja nie mogłem się zdecydować. A ty, Wendy? Czy na zawsze wyrzekłaś się małżeństwa? Co myśmy sobie nawzajem zrobili?

Odwrócili oczy, gdyż każde z nich znało prawdę. Nigdy nie będą wolni.

- Przyznaj się, mała wróżko, musieli być w twoim życiu jeszcze inni mężczyźni. Czy jesteś szczęśliwa bez tej magicznej więzi, która łączyła tylko nas?

- Nikt szczególny nie pojawił się w moim życiu, odkąd wyjechałeś.

On jednak ciągnął dalej.

- Nie jesteś typem dziewczyny, która miewa kochanków. Wychowano cię inaczej. Co ci więc pozostaje?

Wendy wpatrywała się w Shane'a zastanawiając się, co mogłaby odpowiedzieć na jego pytanie.

- Zorientują się, że nas nie ma na przyjęciu - odezwała się wreszcie. Wydawało się jej, że nie potrafi dodać nic więcej.

- No to wracajmy. - Shane odwrócił się i zanurzył w ciemność. Wendy z wolna szła za nim.

Wiedziała, że obserwował ją tego wieczoru, a jej oczy też towarzyszyły mu mimo jej woli. Do końca przyjęcia snuła się jak porażona szokiem ofiara własnych uczuć.

Rozmowa z Shane'em nie miała żadnych konsekwencji. Następnego ranka matce wypadł dysk i lekarz stanowczo polecił jej zostać przez dwa tygodnie w łóżku. Eldora MacDonald, która poza przelotnymi przeziębieniami nigdy nie chorowała i która po urodzeniu dziecka nie odpoczywała nigdy dłużej niż przez dwadzieścia cztery godziny, musiała leżeć i czekać na uzdrawiające działanie matki natury.

Wendy, pochłonięta pracą w „Melanżu” i dodatkowymi zajęciami domowymi, zupełnie nie miała czasu na wyrwanie się z domu i zastanowienie nad sobą. Ale stopniowo doszła do wniosku, że odkrycie prawdy jest jej obowiązkiem wobec samej siebie i wobec Shane'a. Jeśli kłamał, musiała to wiedzieć, by móc dalej żyć. Jeśli mówił prawdę, też musiała się o tym przekonać.

Istniał tylko jeden sposób sprawdzenia rzetelności jego opowieści. Wendy знаła nowe nazwisko Mary Lee i wiedziała, na które z przedmieść Atlanty przeprowadziła się po zamążpójściu. Minęło już wiele czasu, odkąd przestały ze sobą korespondować, ale kilka lat temu Wendy otrzymała od niej kartkę świąteczną.

W czwartek pani MacDonald, aż nadto wypoczęta i spragniona ruchu, jak młody pies na smyczy, wyszła z łóżka oświadczając, że jej kręgosłup jest już w świetnym stanie i przejęła część swoich zwykłych zajęć. W sobotę rano opanowała już wszystko i odpędzała każdego, kto ofiarowywał się z pomocą.

Wendy ucałowała więc matkę na pożegnanie i ruszyła do miasta, by odnaleźć Mary Lee. Był piękny dzień, który należałoby spędzić robiąc to, co się lubi i Wendy żałowała, że zmarnuje go, odgrywając rolę detektywa.

Nie była już pewna, że Shane skłamał. Jej serce i głowa wiodły z sobą spór. Nie jechała do Atlanty tylko po to, by znaleźć potwierdzenie jego winy czy niewinności. Mary Lee otrzymała klucz do ich przeszłości i Wendy pragnęła go jej wydrzeć.

Po przejechaniu przez Atlantę skierowała się na międzystanową autostradę 285 i pojechała w stronę Stone Mountain. Nie zwracała szczególnej uwagi na krajobraz ani na wielką, granitową górę, w której wykuto rzeźby, przedstawiające trzech konfederackich generałów na koniach. Zaparkowała przed małą kawiarnią obok autostrady, zamówiła mrożoną herbatę oraz kanapkę i wypożyczyła lokalny informator. Mary Lee wyszła za Filipa Crane'a, a w książce figurowało dwóch Filipów i jeden F. Crane. Tylko jeden z nich mieszkał w okolicy Stone Mountain.

Wendy zastanawiała się, czy zadzwonić do M.L., co byłoby najprostszym sposobem rozwiązania jej problemów. Ale nie miała ochoty na towarzyskie subtelności i nie sądziła, by można było skutecznie załatwić tę sprawę przez telefon. Nie chciała też uprzedzać M.L. o

swojej wizycie i dać przyjaciółce czas na wymyślanie usprawiedliwień, jeśli okazałyby się konieczne. Skończyła kanapkę oraz herbatę i jednak postanowiła zatelefonować.

W parę minut potem, zgodnie ze wskazówkami M.L., jechała do jej domu. Od lat nie utrzymywały ze sobą kontaktu, a jednak M.L. nie wydawała się zaskoczona, że słyszy głos Wendy. Dziewczyna rozmyślała nad tym, skręcając w stronę osiedla, gdzie mieszkała M.L.

Zatrzymała samochód na ulicy przed ceglany domkiem w wiejskim stylu. Na słupie za samotnym drzewem widniało zawiadomienie, że dom został sprzedany i Wendy zrozumiała, że przyjechała w samą porę.

- Wendy! - Młoda kobieta, czekająca na frontowych schodach, była tęższa niż we wspomnieniach Wendy, ale miała tę samą okrągłą twarz i bujne ciemne włosy. Na rękach trzymała uśmiechniętego cherubinka o wdzięcznych rysach swej matki.

- M.L.! - Przed wejściem na schody Wendy zawahała się nie wiedząc, czy w tych okolicznościach uścisk będzie na miejscu. M.L. rozstrzygnęła tę kwestię wyciągając do niej wolną rękę i dawne przyjaciółki ucałowały się.

- Chodź do środka. Cieszę się, że zadzwoniłaś.

Wendy, wchodząc w milczeniu za M.L. do domu, nie była pewna, czy gospodyni po paru minutach będzie się czuła tak samo swobodnie.

Wszędzie stały skrzynie do pakowania, niektóre już gotowe, niektóre wypełnione do połowy. Kobiety przebyły ostrożnie bawialnię i usiadły na kanapie.

- Czy mogę cię czymś poczęstować? Jadłaś lunch? - M.L. postawiła malucha na ziemi i zaśmiała się przepaszająco, gdy mała dziewczuszka podreptała prosto do skrzynki z talerzami. - Muszę ją wsadzić do kojca, Wendy. Zaraz przyjdę.

Niebawem wróciła. Gawędziły jakiś czas o małej Candy, mającej około roku, o przeprowadzce do Arizony, którą M.L. właśnie nadzorowała. Wendy zgodziła się na jeszcze jedną szklankę mrożonej herbaty, zastanawiając się, jak przystąpić do rzeczy.

- Wydaje mi się, że wiem, dlaczego tu jesteś - powiedziała M.L., jak gdyby nie mogła już znieść widoku Wendy, próbującej znaleźć sposób na wyłożenie swojej sprawy.

- Wiesz?

- Shane był tutaj jakieś trzy tygodnie temu. Czekałam, kiedy ty przyjedziesz. Cieszę się, że to zrobiłaś.

Wendy przyglądała się przyjaciółce. Miała minę zadowolonej, dobrze odżywionej kotki. Widać było, że małżeństwo i macierzyństwo jej służą. Ale teraz, gdy patrzyła na Wendy, w jej ciemnych oczach pojawiło się trochę smutku.

Wendy знаła już odpowiedź, zanim postawiła pytanie.

- Dlaczego Shane był tutaj?

- Żeby pomówić o listach.

- A więc to prawda.

Wendy przez ostatnie dwa tygodnie rozmyślała nieraz, co odczuje, gdy dowie się prawdy. W tej chwili czuła tylko pustkę.

- Chciałabym ci wyjaśnić, dlaczego to zrobiłam. Prawdopodobnie to nie ma dla ciebie znaczenia, jednak wolałabym ci powiedzieć.

Wendy zdobyła się na potakujący gest, ale w tym momencie nie miała siły mówić.

- Czy pamiętasz chłopca, który nazywał się Warren Dantillon? Był w naszej klasie.

Wendy przecząco potrząsnęła głową, a M.L. uśmiechnęła się lekko.

- To naprawdę dziwne. Ja pamiętam wszystko, co jego dotyczy. Naprawdę wszystko. Byłam w nim tak zakochana, że zrobiłabym dla niego wszystko. O mało nie umarłam z szalonej radości, kiedy zaproponował mi pierwszą randkę.

Wendy szukała w pamięci.

- Czy to był taki niski chłopak z haczykowatym nosem?

- Tak, to był Warren. Na drugiej randce zorientowałam się, że zabiegał o moje względy tylko dlatego, iż byłam twoją najlepszą przyjaciółką. Nie potrafię ci powiedzieć, czym to było dla mnie. - M.L. przerwała i przez chwilę siedziała pogrążona w myślach. - Wiesz, że po tylu latach to jeszcze boli?

- Ale ja go nie lubiłam. Zaledwie wiedziałam, że istnieje.

- Ty zaledwie wiedziałaś, że istnieją inni chłopcy. Wszyscy chcieli chodzić z tobą, ale ty zupełnie o nich nie dbałaś. Gdy odkryłam, że i Warren maszeruje w tym tłumie, postanowiłam wyrównać moje rachunki z tobą. Po balu trafiła mi się okazja.

- Udało ci się to nadspodziewanie. - Wendy nie mogła się zdecydować, czy ma być uprzejma, czy szczerą. Szczerłość przeważała. - Trzeba mi było całych lat, by pogodzić się z brakiem wiadomości od Shane'a.

- Moje przeprosiny niczego nie naprawią?

- Ani trochę. - Wendy poszukała spojrzenia M.L. - Czy nie zdawałaś sobie sprawy, czym był dla mnie Shane?

- Nie. Gdybym wiedziała, przekazałabym ci te listy bez najmniejszej zwłoki. Czy nie rozumiesz tego, Wendy? Gdybym wiedziała, że jesteś na serio zajęta Shane'em, nie mogłabym być wściekła o Warrena. Zorientowałabym się, że go nie kokietujesz. Ale myślałam, że Shane był po prostu jednym z wielu chłopaków w twoim życiu. Zatrzymanie listów było głupie i złośliwe, ale nie wynikało z nienawiści.

- I przechowywałaś je przez cały czas?

- Początkowo zatrzymałam je dla własnej satysfakcji.

Wendy podniosła brwi.

- Nigdy ich nie czytałam - zastrzegła się M.L. pospiesznie. - Po prostu trzymałam je i byłam z siebie zadowolona. Potem przeprowadziliśmy się do Atlanty i zapomniałam o nich. Przed wyjściem za mąż przeglądałam swoje rzeczy, by je zabrać tutaj i odkryłam, że wciąż mam te listy. Ale wtedy byłam już dość dorosła, by się zawstydzić. Sama byłam tak szczęśliwa, że nie chciałam powiedzieć sobie, iż byłam kiedykolwiek przyczyną nieszczęścia. Zaprosiłam cię na wesele i chciałam ci o tym powiedzieć.

- Pracowałam tego dnia i nie przyszłam.

- Nie przyszłaś. A ja straciłam odwagę. Tyle czasu minęło.

- Cały wiek.

- Nie jest jeszcze za późno - ciągnęła poważnie M.L.

- Upłynęło już siedem lat! Ani on, ani ja nie jesteśmy już tacy sami. Nie mieliśmy szczęścia dojrzewać razem, rozdzieliliśmy się.

- Nie, oboje jesteście teraz inni, ale może to dobrze. Teraz jesteś już dość dorosła, by wiedzieć, czego chcesz i potrzebujesz i czy Shane jest odpowiednim mężczyzną dla ciebie.

- Próbujesz usprawiedliwić swoje postępowanie? - Wendy spojrzała na przyjaciółkę, ale M.L. nie dała się zbić z tropu.

- Nie, wiem, że to tak wygląda. Myślę, że mam rację. Ogromnie żałuję, że musiałaś przez to przejść. Ale skoro już tak się stało, mam nadzieję, że wyjdzie ci to na dobre.

- Chciałabym mieć twoją nadzieję. - Wendy wstała. - Jeśli masz jeszcze te listy, chciałabym je zabrać.

- Shane je ma.

Wendy wiedziała, że wyraz jej twarzy zdradzał niedowierzanie.

- Gdyby je miał, powiedziałby mi o tym.

- Nie. - M.L. znów uśmiechnęła się smutno. - Wziął listy, ponieważ wiedział, że wyprowadzam się z tego stanu, ale chciał, abyś to ty mnie odnalazła i spytała o nie. Mówił, że nie uwierzyłaś mu, gdy zapewniał, że pisał do ciebie. Wydaje mi się, że pragnął, abyś mu zaufała na tyle, by szukać prawdy na własną rękę.

W drugim pokoju rozległ się głośny płacz. Cierpliwość Candy wyczerpała się. M.L. również wstała.

Obie kobiety patrzyły na siebie. Wreszcie Wendy wyciągnęła rękę.

- To, co teraz czuję, to szok, a nie gotowość wybaczenia. Ale zdolność do przebaczenia

kiedyś przyjdzie i na wypadek, gdybyś była w Arizonie, kiedy...

M.L. ujęła dłoń Wendy.

- Rozumiem. Cieszę się, że już wiesz.

- Ja chyba też. - Wendy odwróciła się i torowała sobie drogę do wyjścia wśród skrzyń.

Spojrzała znów na M.L. i zdobyła się na półuśmiech. - Życzę ci szczęścia, M.L.

- Wszystkiego dobrego, Wendy. Jeśli dobre życzenia się liczą, moje będą zawsze z tobą.

Droga powrotna trwała na szczęście krótko. Po opuszczeniu Stone Mountain dojechała do domu niemal natychmiast. Takie przynajmniej wrażenie odniosła, pochłonięta niespokojnymi myślami. W domu wciągnęła stare dzinsy i ręcznie haftowaną bluzkę, strój, w jaki ubierała się mając kilkanaście lat, gdy chciała ładnie wyglądać przy pracy na farmie. Potem zeszła na dół i poprosiła matkę, by dała jej coś do roboty. Eldora MacDonald uważała zawsze ciężką pracę za najlepszy środek na własne kłopoty życiowe i receptę tę przekazała dzieciom.

Wendy spędziła resztę dnia wiórkując, woskując, froterując. Przesuwała meble z furją wściekłego zapaśnika czując, że wysiłek fizyczny zaczyna łagodzić gniew, wywołany ponurym figlem, jaki spletało jej życie. Pod wieczór podłogi błyszcząły jak lustro, a Wendy wydawała się wyczerpana jak nigdy.

Po kolacji pani MacDonald wypędziła ją z kuchni, kiedy chciała pozmywać. Nadszedł czas spotkania z Shane'em.

W czasie jazdy Wendy opuściła szyby w swoim małym samochodzie pozwalając, by wiatr rozwiewał jej loki. Wybrała dłuższą drogę do domu Shane'a, rozciągając na pół godziny to, co mogło trwać pięć minut. Gdy przybyła na miejsce, niebo już pociemniało. Pamiętała ostatni zmierzch, który spędzili razem i pocałunki Shane'a. Pamiętała też własne reakcje i to, jak łatwo przełamał jej opór. Dziś byłoby tak samo, gdyż zostało jej już niewiele sił do obrony.

Odkąd Shane opuścił okolice, nie była w jego domu ani nawet nie przejeżdżała obok. Budynek, odsunięty o kilkaset metrów od drogi, krył się za niewielkim brzoskwiniowym sadem. Był harmonijnym i pełnym wdzięku przykładem architektury Południa.

Wendy wiedziała z opowiadań rodziców, że Harnett Reynolds przybył do hrabstwa Hall jako młody człowiek i kupił tę farmę, na której nie było budynku mieszkalnego. Ziemię można było wtedy nabyć taniej, a on ciężko pracował i oszczędzał jak mógł, mieszkając w jednoizbowej przyczepie i żyjąc niemal powietrzem. Gdy żenił się z matką Shane'a, był już bogatym człowiekiem i zbudował dla niej ten dom, największy w sąsiedztwie.

Piętrowy, klasyczny w stylu, wzniesiony z czerwonej cegły, z malowaną na biało ciesiołką wewnątrz, nie przypominał zwykłego domu farmerskiego. Miał żłobkowane okiennice, które po zamknięciu stanowiły ozdobę każdego okna. O doskonałości tego domu zdecydowała precyzja wykonania i staranne przemyślenie każdego szczegółu.

Z latami dom zaczął podupadać. Części drewniane wymagały malowania, krzewy należałoby przystrzyc. Topola, zwalona kiedyś w rogu dziedzińca, leżała tam dotąd gnijąc. Zanedbana od dawna winorośl zamieniła się w gmatwaninę splątanych, głuszących się nawzajem pnączy.

Według opinii sąsiadów ojciec Shane'a po śmierci żony stracił ochotę do życia i stan domu miał dowodzić tego w sposób oczywisty. Ale Wendy, choć po raz ostatni odwiedziła to miejsce nocą, nie mając przy tym całkowitej jasności umysłu, pewna była, że wszystko wyglądało jeszcze wówczas o wiele lepiej. Zastanawiała się teraz, czy to także utrata syna, a nie tylko śmierć żony, doprowadziła ostatecznie Harnetta Reynoldsa do depresji, która odebrała mu wszelkie zainteresowanie dla rzeczy tak mu niegdyś drogich.

Zaparkowała swój samochód obok mazdy i nowej półciężarówki, które, jak wiedziała, należały do Shane'a. Był więc widocznie w domu i będzie mogła z nim pomówić. Co mu powie? „Przykro mi, że niesłusznie gardziłam tobą przez siedem lat? Przepraszam, że nazwałam cię kłamcą? Żałuję, że życie zadało nam taki łajdacki cios, ale teraz możemy być przyjaciółmi?”

Przyjaciółmi? Byli dla siebie czymś więcej. Shane stanowił jedyny przedmiot jej marzeń i prawdopodobnie ona grała tę samą rolę w jego życiu.

Teraz już dorośli i marzenia się skończyły. Co mogła mu powiedzieć?

Drzwiczki jej wozu otworzyły się i silna ręka ujęła jej ramię.

- Wejdz do środka, Wendy.

Na jego nalegania wysunęła się zza kierownicy.

- Nie słyszałam, że nadchodzisz.

- Byłaś pochłonięta myślami. Bałem się, że przesiedzisz tak całą noc. - Puścił jej ramię i wsadził ręce do kieszeni dzinsów.

Zatęskniła za ciepłem jego dotyku.

Poszła za nim na werandę i do wnętrza domu. Wskazał jej krzesło, ale odmówiła. Pokój wydawał się większy niż w jej wspomnieniach i bardziej pusty. Dużo mebli znikło.

- Co się stało z tym wszystkim? - spytała, wskazując wokoło.

- Pozbyłem się większości rzeczy ojca. Mam wrażenie, że nie sprzątno tu od czasu mojego wyjazdu. Niewiele z tego mogłem uratować. - Shane odrzucił włosy z czoła, które

natychmiast opadły z powrotem na brwi. - Zmęczymy się stojąc tak i gadając przez cały wieczór.

Wendy zdała sobie sprawę, jak śmiesznie się zachowała, nie chcąc usiąść. Teraz musiała od razu przystąpić do rzeczy.

Pokój był słabo oświetlony. W półcieniu oczy Shane'a wydawały się srebrne, jak wtedy w rozarium. Stojąc o parę tylko kroków od niego, zdała sobie sprawę, jak bardzo stał się jej teraz obcy.

- To nie w porządku - rzekła łagodnie. - Rozmawiamy, pomijając coś ważnego, prawda?

Nie odpowiedział - zrozumiała, że czekał.

- Pojechałam dzisiaj do Stone Mountain i widziałam się z Mary Lee. Znam teraz prawdę.

- Co to zawsze mówi nasz pastor przy końcu swoich nauk? „Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli”. Czy czujesz się wyzwolona? - Głos Shane'a był pełen sarkazmu, nie zdradzał ani odrobiny wzruszenia. Wendy nie miała pojęcia, co on naprawdę czuje.

- Jest mi tak, jakby ktoś zdjął ze mnie ciężar siedmiu lat goryczy - rzekła. - Ale nie czuję się wolna.

- Dlaczego?

- Ponieważ cię zraniłam.

Shane nie odpowiedział. Wendy wiedziała, że przeprosiny nie wystarczą, tak jak jej nie wystarczyła skrucha Mary Lee. Nieustępliwie i w napięciu czekał. Wzniósł między nimi mur, który niełatwo było zburzyć.

Świadomie i zdecydowanie zrobiła krok naprzód. Była teraz tak blisko, że mogła go dotknąć, wygładzić głębokie bruzdy na jego twarzy. Nieśmiało wyciągnęła rękę. Nie drgnął, gdy go dotknęła, lecz zauważyła, że oddychał szybciej.

- Czy możesz mi przebaczyć? - Słyszała, że głos jej się rwie. Oczy miała pełne łez. - Tak bardzo mi przykro.

- Doprawdy?

- Tak. - Wendy poczuła, jak dłoń Shane'a nakrywa jej drżącą rękę. Ich palce się splotły.

- I wierzysz, że nigdy cię nie wykorzystałem, że nigdy się ciebie nie wyrzekłem? - Tak.

- A więc przeszłość już nie istnieje. - Przynurzył się bliżej i zanurzył rękę w jej włosy.

W oczach miał więcej ciepła.

Wendy poczuła ulgę przy tych słowach. Przyjęła je jak błogosławieństwo. Uśmiechnęła się przez łzy.

- Dziękuję.

- Czy wiesz, jak bardzo chciałem zobaczyć w twoich oczach coś innego niż nieufność?

- Shane uśmiechnął się także. - Zapomniałem, jak ci jest do twarzy z uśmiechem.

Wstrzymała oddech patrząc, jak pochyla się, by ją pocałować.

Zanim dotknął jej ust, mogła wyczytać w jego oczach, jaki to będzie pocałunek. Miał być łagodny, taki, jaki wymienili w rozarium, i tak właśnie się zaczął - jak muśnięcie. Ale potem Shane się cofnął, jakby chciał odejść.

- Czego ty chcesz ode mnie, Wendy? – zapytał otwarcie.

Wiedziała, że odpowiedź zdecyduje o reszcie jej życia. Nagle wróciła do rzeczywistości.

- Nie wiem.

- Nie przypuszczałem, że wiesz. Ale dla dobra nas obojga lepiej byłoby, żebyś wiedziała.

Wendy skinęła głową i odwróciła się, by odnaleźć drzwi. Musiała odetchnąć zimnym, nocnym powietrzem, by ochłonąć. Na werandzie powiedziała Shane'owi dobranoc.

- Zaczekaj tu - prosił. - Mam coś, co należy do ciebie.

Powrócił po chwili, niosąc paczkę listów przewiązanych wstążką. Podał je w milczeniu. Wzięła pakiecik, dziękując skinieniem głowy. Nie miała siły się odezwać.

- Przeczytaj to - rzekł Shane. - Jeszcze tej nocy.

Znów skinęła głową, dotknęła jego ręki i odeszła w ciemność.

Kiedy dotarła do domu, ucieszyła się, że może być sama w pokoju. Czytała po wielokroć listy Shane'a. Płakała łzami bezsilnego żalu nad dziewczyną, która nie wiedziała, że była tak kochana, i nad młodym człowiekiem, który otwierał swoje serce. Była wściekła na Mary Lee, lecz w końcu przebaczenie owładnęło jej duszą. Siedziała teraz przy oknie, patrząc na krajobraz w blasku księżyca. I wiedziała, że o kilka kilometrów stąd Shane zapewne czuje to samo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jesteś prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, która robi kanapki tak, jakby pracowała przy taśmie. - Wendy obserwowała Sarę, która metodycznie kładła musztardę na dwadzieścia kromek chleba, żeby potem zacząć od nowa z majonezem.

- A ty jesteś jedyną osobą na świecie, która uważa, że ludzie wolą jeść raczej rzodkiewkę wyglądającą jak róża niż rzodkiewkę podobną do rzodkiewki.

Wendy dalej szatkowała i kroїła jarzyny na stół z przystawkami, który już teraz sprawiał wrażenie eksponatu z wystawy sztuki kulinarnej.

- Czy myślisz, że mama da sobie radę z przygotowaniem wszystkiego?

- Ma wprawę i kocha to, co robi.

- Mama jest w siódmym niebie, że przyjeżdżają Stacey i Sandy i przywożą wnuki. Miło będzie je zobaczyć. Czym byłby Czwarty Lipca bez dzieciarni, która cieszy się na paradę.

- Czy pamiętasz ten rok, kiedy o mało nie spaliliśmy stodoły, bo Thomas przywłókł skądś fajerwerki?

- Należały do Shane'a. - Wendy wstała i przeciągnęła się. - Jeśli Thomas popadał w kłopoty, pewne było, że Shane maczał w tym palce.

- Nie gniewasz się już na Shane'a, prawda? - Pytanie Sary brzmiało obojętnie. Starannie rozkładała na chlebie plastry szynki.

- Nie gniewam się. Ty widzisz wszystko?

- Nie trzeba wielkiego wysiłku umysłowego, by dodać dwa do dwóch. - Sara wzięła się za ser. - Nigdy przedtem nie widziałam, byś była tak wyprowadzona z równowagi. To było... interesujące... Jesteś w nim zakochana?

- Saro!

- Myślałam, że nie zamierzasz ani się zakochać, ani wyjść za mąż.

- Zmyślasz coś.

- Nie. Dokładnie pamiętam, jak mówiłaś, że się nie zakochasz, że nie...

- Nie. Chodziło mi o to, że zmyślasz coś o moim stosunku do Shane'a.

- Nie sędzę - przez moment w głosie Sary dźwięczała uraza.

- Kiedyś kochałam Shane'a - spokojnie powiedziała Wendy. - Nikt o tym nie wie oprócz mamy, Saro.

Spojrzenie Sary złagodniało. Zrozumiała, że Wendy ofiarowała jej właśnie wyjątkowy dar.

- Kiedy wy dwoje zbliżacie się do siebie na odległość kilkunastu metrów, sypią się iskry.

- A więc to chyba dobrze, że rzadko się widzimy, bo moglibyśmy coś podpalić. - Wendy chciała powiedzieć to lekkim tonem, ale nie udało się jej.

Zatęskniła za Shane'em. Unikali się wzajemnie od tej nocy, gdy go przeprosiła za brak wiary, że do niej pisał.

- Zobaczysz go dzisiaj. Jest zaproszony na popołudnie.

Wendy spojrzała na szorty i koszulkę, które jeszcze pół minuty temu wydawały się jej zupełnie na miejscu. Wstała.

- Dobra, skończyłam już z przystawkami. Chyba pobiegnę się przebrać, zanim przyjadą Sandy i Stacey.

- To dobry pomysł - Sara przytaknęła bez śladu uśmiechu. Patrzyła, jak Wendy znika w drzwiach, a potem z wyraźną niechęcią wzięła nóż i zaczęła sama przykrawać rzodkiewki.

Sandy z rodziną przyjechała pierwsza na farmę MacDonaldów. Mieszkali w Georgii, w odległym o około sto sześćdziesiąt kilometrów miasteczku Cameron. Tyler był uznanym adwokatem z rozległą praktyką, a Sandy spędziła ostatni rok kończąc wydział prawa na uniwersytecie stanowym i rodząc ich pierwsze dziecko, Bonnie Charlotte Hamilton. Przy tym wypełnionym rozkładzie zajęć nie można się było widywać z nimi często. Kiedy zajechali swym nowym samochodem kombi, cały klan MacDonaldów oszalał.

Wendy cierpliwie czekała na swoją kolej. Była matką chrzestną Bonnie, co świadczyło o bliskości jej związku z Sandy, więc chciała przytulić nową siostrzenicę i uściskać siostrę. Najpierw jednak wpadła w braterskie objęcia szwagra. Wendy rozumiała z łatwością uczucia Sandy dla Tylera Hamiltona. Pełen godności członek starej, osiadłej w Georgii rodziny, wkroczył w życie jej siostry i zmienił je na zawsze. Tyler i Sandy poszli na wzajemne ustępstwa, tworząc małżeństwo w najlepszym znaczeniu tego słowa. Czasami zmuszało to Wendy do zastanowienia się nad własnymi planami życiowymi.

- Wendy! - Sandy objęła siostrę ramieniem i przyciągnęła ją do siebie. - Jak to było długo! - Podniosła tłumoczek owinięty w jasny kocyk i podała go Wendy. - Co na to powiesz?

Wendy spojrzała na swoją czteromiesięczną siostrzenicę. Bonnie patrzyła na ciotkę i uśmiechała się radośnie.

- Ależ jesteś śliczna! - Wendy objęła dziecko i podniosła je do góry. - Co za skarb z ciebie!

Dokładnie obejrzała Bonnie i ociągając się oddała je Sarze i Jennifer, które czekały na swoją kolej.

Hamiltonowie z radością brali udział w rodzinnym rozgardiaszu. W godzinę później Cunninghamowie przyjechali niebieską furgonetką, która wiele razy zabierała ich na camping. Stacey poślubiając Ryana stała się nagle matką jego czworga osieroconych siostrzenic i siostrzeńców. Teraz, po czterech latach, Stacey i Ryan mieli własnego trzyletniego chłopca, Devina, i następne dziecko w drodze. Kiedy Stacey wyszła z furgonetki, majestatycznie brzemienna, Wendy pomyślała, że nigdy nie wyglądała na szczęśliwszą.

Kobiety MacDonaldów podawały dzbanki mrożonej herbaty i lemoniady oraz kanapki Sary. Wendy była tak pochłonięta rozmową, że przestała myśleć o przybyciu Shane'a.

Było to prawdą przynajmniej do chwili, gdy pochwyciła wymianę czułości między Stacey oraz Sandy i Tylerem. Jej obydwie starsze siostry wyszły za mężczyzn, którzy poza nimi świata nie widzieli. Co by to było, gdyby ktoś czuł do niej to samo?

- Stacey, Sandy, czy pamiętacie Shane'a Reynoldsa?

Wendy podniosła wzrok na Shane'a, stojącego obok jej ojca na schodach werandy.

Stacey wstała, uśmiechając się do Shane'a na powitanie.

- Chodziliśmy razem do szkoły. Jasne, że pamiętam. Poznaj moją rodzinę.

Wendy z werandy obserwowała przyjacielskie prezentacje. Chcąc nie chcąc musiała zauważyć, że Shane pasował doskonale do jej obydwu szwagrów. Każdy z nich odnosił sukcesy w swojej dziedzinie. Wszyscy trzej mężczyźni promieniowali drzemiącą w nich siłą. Shane był młodszy od Ryana i Tylera, ale zachowywał się z tą samą godnością i pewnością siebie. Jednak cechowała go jakaś ukryta pod powierzchnią dzikość, jakaś wrażliwość.

Gdy myślała o tym, uchwyciła akurat spojrzenie Shane'a. Nigdy przedtem nie uważała go za wrażliwego, ale teraz było to dla niej całkowicie widoczne. Nastąpiła chwilowa przerwa w prezentacjach i on zwrócił twarz w jej kierunku. Zrozumiała, że to, co teraz robi, zdecyduje o ich wzajemnych stosunkach. Wpatrzona w niego Wendy wyciągnęła obydwie ręce.

- Halo, Shane.

Porwał jej ręce i, jak gdyby chcąc przypieczętować swoje prawa, pochylił się i pocałował ją w policzek, muskając wargami kącik jej ust.

- Halo, Wendy.

Zapragnęła czegoś więcej, jak zawsze w jego obecności. Ale zdała sobie sprawę, że już i tak zwróciła uwagę MacDonaldów na charakter ich stosunków. Nie była powierzchownie serdeczna dla wszystkich. Publicznie mogła całować lub ścisnąć własną rodzinę, ale choć w szkole średniej i college'u miała wielu przyjaciół, wszyscy wiedzieli, że była uważana za zbyt sztywną przez młodych ludzi, którzy chcieli od niej czegoś więcej, niż mogła im dać.

Jednakże teraz nie dbała o to. Wciąż trzymając rękę Shane'a, przyciągnęła go do siebie.

Nie chciała go stracić, nie chciała nawet ukrywać swoich uczuć.

- Cieszę się, że jesteś tutaj - powiedziała, dziwiąc się, że to może brzmieć aż tak wieloznacznie.

- Ja również.

Oboje wiedzieli, że minęło siedem lat, ale skoro między nimi nie było już goryczy, Wendy mogła przyjąć, że czas niemal stanął w miejscu. Shane pomógł jej sprzątnąć talerze i szklanki z werandy, a potem gawędzili przy zlewie, gdzie ona zmywała, a on wycierał statki. Kuchnia była miejscem bardzo uczęszczanym, nie mogli więc rozmawiać o sprawach intymnych, ale przypominali sobie inne święta niepodległości i zaczęli opowiadać historyjki o rodzeństwie Wendy.

Potem, trzymając się za ręce, poszli na spacer do stawu wraz z Sandy, Tylerem i dwojgiem młodszych dzieci Stacey, którym pokazywali, jak jedzeniem dla psów karmić gigantycznego zębacza pana MacDonalda. W lesie Wendy i Shane odłączyli się od reszty, wybierając inną ścieżkę. Idąc w milczeniu cieszyli się tą chwilą i cieniem strzelistych drzew. Wreszcie Shane zatrzymał się, oparł o pień dębu i przyciągnął Wendy do siebie.

- Nie zapomniałem nigdy, co to znaczy mieć cię w swoich ramionach.

Wyuczona rezerwa Wendy nie pomogła w tej sytuacji.

- Ja też nie zapomniałam.

- Byłaś tak piękna, tak oddana. Gdy cię czułem przy sobie, myślałem, że umrę.

- Shane...

- Wołałbym umrzeć, niż cię zranić.

- To już minęło.

- Doprawdy? Wciąż chcę, byś była w moich ramionach. Jesteś ciągle tą samą, piękną, oddaną kobietą.

- Ależ nie. - Podniosła lekko głowę. - Wtedy nie byłam kobietą. Wcale nie.

- Zostałaś kobietą w moich ramionach.

- To bardzo staroświeckie odczucie. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Mówiąc prawdę, nie byłam na to gotowa.

Ujął jej podbródek i uniósł go tak, by nie mogła dłużej unikać jego wzroku.

- Tego właśnie najbardziej żałuję. Powiedziałaś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż. Czy to z tego powodu? Czy to cię zraniło aż tak, że już nigdy nie będziesz chciała innego mężczyzny?

- Nie - odrzekła łagodnie, widząc głęboki żal w jego oczach. - Zraniło mnie to, co zdarzyło się potem. Czułam się tak winna i tak samotna. Myślałam, że zaufałam niewłaściwemu mężczyźnie. Ale, Shane, myślałam, że jeśli nie mogę zaufać tobie, nie uwierzę

już nikomu innemu.

- A teraz?

- Teraz wiem, że się pomyliłam, że czułeś to, czego się spodziewałam.

- Dokąd nas to doprowadziło?

- Staliśmy się o siedem lat starsi.

- Nie jest jeszcze za późno.

Ostrzegawczy dzwonek rozległ się w głowie Wendy.

- Żadne z nas nie wie, czy to prawda.

- Nie wmówisz mi, że nie czujesz tego, co wciąż jest między nami. - Ramiona Shane'a objęły ją mocniej.

- Ile kobiet całowałeś od naszego ostatniego pocałunku?

Shane uśmiechnął się, słysząc urazę w jej głosie.

- Dość wiele, by określić różnicę między nimi a tobą.

- A co to za różnica?

- Ciebie kocham.

Te słowa zostały wypowiedziane tak lekko, że przez chwilę nie zdawała sobie sprawy z ich wagi. Zmarszczyła czoło, jak gdyby próbowała przyjrzeć się im z dystansu.

- Nie mów mi, że o tym nie wiesz - ciągnął dalej Shane. Przeczytałaś listy. •

- Były pisane dawno temu, Shane. Jak możesz mnie jeszcze kochać po tak długim czasie.

- A jak sądzisz, o czym dotąd mówiłem? Myślisz, że wróciłem, by dla zabawy otwierać stare rany?

- Dlaczego wróciłeś?

- Żeby się z tobą ożenić.

Wendy przysunęła się do niego i natychmiast zorientowała się, że to był błąd. Ale gdy starała się cofnąć na bezpieczniejszą odległość, Shane nie pozwolił jej.

- O ile wiesz, już jestem jakby po ślubie - powiedziała z głową na jego piersi.

- Nie byłem wobec ciebie uczciwy. Ale nie straciłem cię z oczu, mała wróżko.

Milczał przez chwilę, próbując zrozumieć tę nową dla niej sytuację.

- Dlaczego zatem nie wróciłeś i nie spotkałeś się ze mną wiele lat temu?

- Nie zapominaj, że nie wiedziałem, dlaczego nie chcesz odpowiadać na moje listy.

Kiedy przewyciężyłem swoją urazę, a to zabrało mi parę lat, doszedłem do wniosku, że potrzeba nam czasu i dystansu. Pomyślałem, że to pozwoli nam dorosnąć i zobaczyć wszystko w innej perspektywie.

- A gdybym tymczasem znalazła innego mężczyznę?
- Wróciłbym w jednej chwili, by upomnieć się o ciebie.
- I sądzisz, że wtedy stopniałabym w twoich ramionach?
- Tak jak teraz? Przyszło mi to do głowy.

Wendy zeszywniała, ale zabawna strona sytuacji wzięła górę nad jej słusznym gniewem. Mimo woli parsknęła śmiechem.

- Ach, Wendy, od tak dawna nie słyszałem, jak się śmiejesz. Roześmiej się jeszcze raz. Potrząsnęła głową, nie pozwalając mu wykręcić się tak łatwo.

- Ciekawe, czy pamiętam, jak cię do tego doprowadzić? - Dłonie Shane'a wędrowały wzdłuż jej grzbietu, zatrzymały się w talii i zaczęły powoli wspinać się po żebrach. Palce łaskotały ją lekko. - Thomas nauczył mnie tej sztuczki dawno temu, kiedy myśleliśmy, że dziewczęta są tylko po to, żeby im dokuczać.

- Thomas nie mógł cię tego nauczyć. - Wendy z trudem łapała powietrze. - On łaskotał tylko w gołe stopy.

- Masz rację, być może to wcale nie był Thomas. Teraz wydaje mi się, że to prawdopodobnie była Beverly Han... Auu!

Wendy kopnęła go, zadając czubkiem sandałka lekki cios w but Shane'a. Była pewna, że nawet tego nie poczuł, ale opuścił ręce udając agonię. Cofnęła się, widząc niebezpieczny błysk w jego oku, gdy przestał udawać, że jest ranny i zaczął podkradać się do niej.

- Nie mogę pozwolić ci odejść po takiej zbrodni. Co by powiedział Thomas?

- Thomas mieszka w stanie Waszyngton. Nigdy się nie dowie. - Cofała się, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Znalazła się znów w świecie swego dzieciństwa. Prawie. Teraz gra nie była aż tak podniecająca i niebezpieczna jak wtedy, gdy miała sześć lat. Śmiejąc się głośno ze szczęścia, odwróciła się i puściła biegiem.

Przemykali pomiędzy drzewami, Shane o krok za nią. Oboje wiedzieli, że gdyby chciał ją schwytać, byłoby to łatwe. Miał dłuższe nogi, a ciało przywykłe do wysiłku fizycznego. Wendy nie mogła powstrzymać śmiechu, co poważnie przeszkadzało jej w biegu. Warto było czekać siedem lat, by tłumiona tak długo radość znalazła ujście, łatwo niweczając sztuczną maskę ochronną. Było lato i słońce silnie przeświecało poprzez drzewa, znacząc złotymi plamami ziemię, po której biegła. Tylu bliskich jej ludzi znajdowało się tuż, zaledwie o rzut kamieniem. A Shane? Shane, jedyny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek kochała, biegł tuż za nią.

Zatrzymała się nagle i odwróciła z wyciągniętymi ramionami. Udał, że potknął się o nią i już leżeli na łożu z igliwia. Wendy objęła go i przytuliła jego głowę. Całowali się, przerywając tylko po to, by zaczerpnąć tchu i śmiać się znowu. Był jej tak drogi. Kochała go długo i gorąco, a jeśli to nawet minęło, to nie zmienił się pociąg, jaki czuli do siebie.

Zastanawiała się, czy miałyby siłę, by mu się oprzeć, gdyby zażądał więcej. Zaczynała odkrywać w sobie nowe, niepokojące rzeczy. Między innymi to, że Shane ma nad nią władzę, jakiej nie miał nikt inny.

Wydawało się, że on umie czytać w jej myślach.

- Nie mam zamiaru zmuszać cię do czegokolwiek, na co nie jesteś przygotowana. Ja również dorosłem.

- Żałuję, że nie wysyłałaś tych listów do mnie. - Naraz wszystko wydało się jej tak niesprawiedliwe.

- Żałujesz raczej, że nie pobraliśmy się, kiedy skończyłaś szkołę średnią i byłaś tak obłądnie zakochana we mnie, że żadna inna możliwość nie przychodziła ci do głowy.

- Prawdopodobnie mielibyśmy teraz dziecko - Wendy usłyszała tęsknotę we własnym głosie.

- Czy byłabyś szczęśliwa?

- Pewnie tak.

- Jeszcze możesz mieć to wszystko. Zaraz się z tobą ożenię i w miodowym miesiącu dam ci dziecko.

- Czy naprawdę chcesz tego? - Głaskała dalej włosy Shane'a.

Przekręcił się na bok i oparty na łokciu patrzył na nią. Byli blisko siebie, ale już się nie dotykali.

- Czy jesteś gotowa, by usłyszeć, czego chcę? Chcę rodziny, której nigdy nie miałem - powiedział spokojnie. - Nie musi być tak wielka, jak zwariowany dom MacDonaldów, ale chcę wieczorem wracać do domu, do kobiety, którą kocham, i do dzieci, za które oddałbym życie. Chcę uprawiać swoją ziemię wiedząc, że pracuję dla nich i że pewnego dnia one będą robić to samo dla swoich dzieci. To wszystko, czego chcę.

- Mówisz jak mój ojciec.

- Ale nie jestem twoim ojcem.

- Pewnie, że nie. - Wendy próbowała się uśmiechnąć. - Ale Shane, to wszystko dzieje się za szybko jak dla mnie.

- Wiem. Marzysz o czymś innym - ton Shane'a był pełen troski, wyrozumiał.

- Nigdy nie opuszczałam domu. Nie mogłam nawet wyjechać do college'u. Czekałam

dotąd, żeby zobaczyć trochę świata. Możesz to zrozumieć?

- Widziałem świat. Nie ma tam niczego, czego nie mogłabyś znaleźć na własnym podwórku.

- Dla ciebie nie. Ale ze mną może być inaczej. Ja miałam dom, miłość i rodzinę. Chcę czegoś więcej. - Podniosła rękę, by dotknąć jego włosów. - To nie znaczy, że ciebie nie chcę, że o ciebie nie dbam...

- Nie kochasz mnie?

- Nie wiem. - Potrząsnęła głową Wendy.

Shane położył się z powrotem na igliwiu, zasłaniając oczy ramieniem nie tylko przed słońcem.

- Powiedziałem, że nie mam zamiaru cię zmuszać, Wendy. Mówiłem to poważnie.

Była gotowa rzucić się ku niemu i powiedzieć, że może mieć wszystko, czego pragnie, nawet jej marzenia. Zamiast tego wzięła głęboki oddech i usiadła.

- Sądzę, że musimy wracać. Rodzina będzie nas szukać. Zwłaszcza ojciec.

- Twój ojciec musiałby być bardzo młodym człowiekiem, żeby się przejmować konkurentami córek.

Taki właśnie akcent wystarczył, by chwilowo usunąć panujące między nimi napięcie. Wendy wyciągnęła rękę i pociągnęła Shane'a tak, że usiadł przy niej. Pochylił się i zanim wstał, pocałował ją w nos.

- Lepiej daj mi strzepnąć igliwie z twoich pleców, bo inaczej urządzą nam przymusowe wesele, które zakasuje Czwarty Lipca.

Zrobiła, jak powiedział, a potem wyświadczyła mu tę samą przysługę i ręka w rękę wrócili do domu.

Wendy nieraz rozmyślała, czym ludzie mieszkający na północy zastępują frontowe werandy. Miała wrażenie, że wiele ważnych momentów swego życia spędziła siedząc w fotelu na biegunach, owiewana chłodnym wieczornym wiatrem. Tego wieczora, gdy z wolna kołysała się, nad słuchując śpiewu ptaka - przedrzeźniacza w gąszczu magnolii, zastanawiała się leniwie, czy znajdzie w Atlancie mieszkanie z werandą.

Był to najwspanialszy Czwarty Lipca, jaki mogła sobie przypomnieć. Shane został do późna, zjadając swoją porcję składającą się z tuzina kurczaków, upieczonych na świeżym powietrzu, a także górę surówki z kapusty i pieczonej fasoli. Pomagał bliźniętom Stacey puszczać fajerwerki, nie wywołując przy tym pożaru stodoły, a po kolacji przyłączył się do śpiewów, które trwały, dopóki dzieci nie posnęły na kolanach rodziców i dziadków. Potem,

przed odjazdem, zaciągnął Wendy w cień i pocałował ją na dobranoc. Ich dyskrecja nikogo nie zmyliła. Wszystko było jasne. Stacey i Sandy obstały ją i dowodziły, że przez wszystkie te lata wiedziały, iż Wendy jest po uszy zakochana w Shanie. Nic, co mówiła, nie mogło im wybić tego z głowy.

Wszystko było niemal zbyt piękne. Zbyt piękne i zbyt boleśnie znajome. Zawsze lubiła te spotkania rodzinne, ale nigdy bardziej niż dzisiaj, z Shane'em u boku, zachowującym się wobec niej z taką samą czułością, jak Ryan wobec Stacey i Tyler wobec Sandy. Była to scena z jej dziecinnych marzeń i wiedziała, że były to także jego marzenia. Dom MacDonaldów całkowicie zaakceptował Shane'a, który nigdy nie miał własnego życia rodzinnego.

Kołysała się, jak gdyby ten łagodny ruch mógł rozproszyć zamęt jej uczuć.

- Wendy?

W drzwiach stanęła Sandy. Rozpuszczone złote włosy przykrywały jak płaszcz jej długi peniuar. Bonnie ułożyła się wygodnie na jej ramieniu.

- Czy mogę przysiąc się do ciebie?

- Jasne. Czy Bonnie jest głodna?

- Pytanie powinno brzmieć: „Czy Bonnie jest głodniejsza?”. Głodna jest zawsze. - Sandy usiadła w fotelu obok Wendy i rozpięła peniuar. Po chwili Bonnie ssała radośnie.

- Nie chciałam obudzić Tylera. Spał tak smacznie.

- Czy przeszkadza mu, kiedy karmisz ją w łóżku?

- Lubi na to patrzeć. Pragnął dziecka od tak dawna, że teraz chce brać udział we wszystkim.

- Elegancki Tyler Hamilton jest bezwstydnie entuzjastycznym tatą. To piękny widok.

- Prawda. - Sandy popatrzyła na Wendy z uśmiechem. - A wiesz, jaki widok jest równie piękny? Shane Reynolds spoglądający na ciebie.

- Shane mówi, że mnie kocha. - Było już za późno na wykryty.

- A jak ta miłość ma się do twoich planów wyjazdu do Atlanty?

- Nie powiedziałam, że go kocham.

- Czy wiesz, że zawsze byłaś tajemnicza? Powiedziałaś mi kiedyś, że w szkole średniej byłaś zakochana, ale w tym czasie byłam zbyt zajęta własnymi kłopotami i nie zwróciłam na to uwagi. Ale teraz domyślam się, że Shane był chłopcem, którego kochałaś. - Sandy utkwiała wzrok w oczach Wendy. - Jeśli wyobrażasz sobie, że już go nie kochasz, to oszukujesz siebie, ale nikogo poza tym.

- Nie mogę być zakochana. Nie w Shanie, człowieku, który jest tak bez reszty związany z ziemią.

- A ja nie przypuszczałam, że zakocham się w wybitnym prawniku, pochodzącym z jednej z najwytworniejszych rodzin Południa. Miłość zwykle wybiera na ślepo.

Wendy milczała chwilę, zanim zdobyła się na odpowiedź.

- Ty i Stacey byłybyście całkowicie zadowolone, spędzając życie przy tej brudnej drodze. A ja nie.

- A czy będziesz zadowolona, spędzając życie bez uścisków Shane'a? - Sandy spojrzała na przytulone do niej dziecko. - Usnęła. - Delikatnie przeniosła śpiącą córeczkę na ramię i wstała. - Wendy, chciała bym, żeby wszystko było prostsze dla ciebie. Ale jeśli życie nauczyło mnie czegoś, to tego, że nic nie jest proste. Zwłaszcza miłość.

Wendy siedziała w fotelu, słuchając cichnącego odgłosu kroków Sandy. Gdy znów zapadła wkoło nocna cisza, zastanawiała się, jaka to siła we wszechświecie podjęła tę dziwną decyzję, że życie ludzkie nie może być proste. Wydawało jej się to okrutnym żartem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Shane nie ponaglał Wendy. Doszedłszy do ładu z własnymi uczuciami usunął się, by i ona miała czas zastanowić się nad swą sytuacją. Ale mogła myśleć jedynie o tym, że nie zobaczy go przez następne długie, upalne tygodnie.

„Melanz” pochłaniał prawie całą jej energię. Ręce miała zajęte, ale myśli jej krążyły z ogromną szybkością wokół jednej tylko sprawy - jej przyszłości z pewnym farmerem z hrabstwa Hall.

Gdy wyczerpała się cierpliwość Shane'a i przyszedł po nią, nie była bardziej zdecydowana niż Czwartego Lipca, co ma mu odpowiedzieć.

Budząc się tego ranka, przypuszczała, że będzie to ważny dzień. Być może dlatego, że niebo zachmurzyło się, a ostatnio padało, gdy Shane wpadł do „Melanzu”. Myła się i ubierała z niezwykłą starannością, próbując rozprostować pod suszarką loki, które zawsze skręcały się od nadmiernej wilgoci.

Ranek był dla interesów fatalny. Burza zalewała potokami brudnego, zimnego deszczu nielicznych naiwnych klientów, dość lekkomyślnych, by opuścić dom, tak że około jedenastej „Melanz” był pusty. Wendy powiedziała pomocnikom, że mogą mieć wolne.

W porze lunchu nie mogła już stłumić gwałtownego pragnienia, by zamknąć wszystko i pójść coś zjeść. Właśnie włożyła beżowy trencz, kiedy wszedł Shane. Nosił tę samą niebieską wiatrówkę i czapkę zmoczoną deszczem, ale jego oczy miały już inny wyraz. Przypomniało to raz jeszcze Wendy, że mur między nimi runął.

- Przyszedłem zabrać cię na lunch.
- Dlaczego zawsze przychodzisz, kiedy pada?
- Przez całe życie byłaś córką farmera. Powinnaś to rozumieć.

Wendy zauważyła, że miał podkrążone ze zmęczenia oczy. Nikt nie wiedział lepiej od niej, jak ciężko było wydzierać środki do życia z żywej gliny Georgii. Niezależnie od tego, jak bardzo Shane chciałby być z nią, nie mógł marnować czasu przy dobrej pogodzie. Byli skazani na romans w deszczu.

- Zjedzmy tutaj. - Przemknęła bokiem, by zaryglować drzwi i umieścić wywieszkę „Zamknięte”. Potem spojrzała na niego i rozpięła płaszcz. – Wyglądasz na zbyt zmęczonego, żeby w deszcz włączyć się po mieście i szukać, gdzie można by coś zjeść. Dostałam klucze do mieszkania Heleny na piętrze. Możemy tam pójść, a ja zrobię kanapki.

Wendy czuła, że Shane'owi odpowiada domowa atmosfera, jaką wytworzyła ta

propozycja. I znów przypomniła sobie, że rzadko w jego życiu ktoś się nim przejmował i troszczył się o niego. Odczuła gorącą tkliwość dla tego mężczyzny, który był niegdyś niekochanym małym chłopcem. Zaskoczyła ją intensywność uczuć, jakie w niej budził.

- Na pewno tego chcesz? - spytał.

- Absolutnie.

Prowadziła go schodami na górę. Czekał, aż otworzy drzwi mieszkania. Ona i jej pomocnicy często jadali tutaj lunch, więc lodówka była dobrze zaopatrzona. Gdy Shane zdejmował wiatrówkę i sadowił się w wygodnym fotelu w bawialni, Wendy podlała afrykańskie fiołki Heleny. Nastawiła wodę na kawę, wyjęła wędlinę i ser.

Shane miał zawsze dobry apetyt toteż na talerzu z delikatnej porcelany ułożyła stos kanapek, by zanieść je na stół. Nalała im obojgu kawy, zabieliła swoją mlekiem i zawołała Shane'a.

Nie było odpowiedzi. Zaciekawiona weszła na palcach do malutkiej bawialni Heleny i zobaczyła, że śpi snem sprawiedliwego.

Shane nie mógłby znaleźć lepszego sposobu, by wzruszyć serce Wendy. Ogarnęło ją tak silne uczucie, że nie była w stanie się przed nim bronić. Niemniej jego skrajne wyczerpanie musiała potraktować też jako ostrzeżenie. Usiadła przy nim na podnóżku i przyglądała się, jak śpi. Często widywała takie zmęczenie u ojca i u swego najstarszego brata, Grega, który był właścicielem małej farmy w pobliżu. W kościele obserwowała wyraz twarzy mężczyzn, którzy musieli wstać przed paniem kogutów, by skończyć robotę i móc wziąć udział w niedzielnym nabożeństwie. Każdy z nich był tak samo zmęczony. I wiedziała też, kto chronił ich przed ostatecznym wyczerpaniem.

Ich kobiety.

Widziała, jak jej matka haruje nieprzerwanie, pogodnie wykonując prace, których kobiety z miasta nie byłyby się w stanie podjąć, a nawet nie miały pojęcia, że istnieją. Widziała, jak matka, którą uwielbiała, do której była tak podobna, wyrzekła się wszystkiego, zaniedbała własne potrzeby, by coraz więcej czasu poświęcić rodzinie i ziemi. Nie skłaniały jej do tego ani ofiarność, ani pociąg do męczeństwa. To była konieczność, jej życiowa rola - a do tej roli Wendy nie była gotowa.

A jednak kiedy obserwowała, jak Shane śpi, jak jego pierś unosi się i opada przy każdym oddechu, jak jego twarz odpręża się i łagodnieje, zrozumiała, dlaczego takie kobiety jak jej matka wybierały to trudne życie. Kochali je silni mężczyźni, którzy zmagali się bezpośrednio z samą naturą i wychodzili z tej walki zwycięsko. Stanowili część tego, co było samą istotą życia, co było bardziej realne niż świat „Melanżu”. Byli częścią ziemi, mieli ją

we krwi i w sercach.

Wendy także ją kochała. Nigdy nie wstydziła się swych korzeni. Była dumna ze swej rodziny i z tego, co ona reprezentowała, dumna, że jest dzieckiem brudnego farmera z Georgii, ponieważ rozumiała, że bez takich ludzi jak jej ojciec i Shane świat byłby siedliskiem głodu. Nie była jednak pewna, czy to jest życie dla niej. Shane potrzebował towarzyszkę na dobre i złe. Było to określenie staromodne, ale żadne inne nie mogłoby oddać istoty rzeczy. Potrzebował zarówno pomocnicy i partnerki, jak kochanki i przyjaciółki. Mogła się stać ozdobą jego życia, ale nie mogła dać gwarancji, że będzie taką żoną, jakiej mu trzeba.

- Mała wróżko...

Spotkała jego spojrzenie i spróbowała się uśmiechnąć.

- Spałeś.

- A ty rozmyślałaś.

- O tym, jak ciężko pracujesz.

Wyprostował się w fotelu i zanurzył palce w jej włosy.

- Miałem ciężki tydzień. Byłoby lepiej, gdyby ktoś pomógł mi o nim zapomnieć.

Chodź do mnie.

Wziął ją na kolana i przytulił.

- Czy wiesz, co to dla mnie znaczy, obudzić się i znaleźć cię przy sobie?

Pomyślała, że wie, ale nie powiedziała mu tego. Skarciła go tylko.

- Nie uważałeś na siebie.

- Nie było czasu. Widziałas, w jakim stanie jest mój dom, Wendy. A z farmą jest równie źle. Płoty się poprzewracały, niektóre pola całymi latami nie widziały pług. Nawet kurniki są zaniedbane. Aparatura się psuje, nie było porządnej dezynfekcji od czasu sprzedaży ostatniej partii kurczaków. Gdy opanuję to wszystko, odetchnę spokojniej, ale jeszcze długo będę bardzo zaharowany.

- Przygotowałam dla ciebie lunch. - Próbowała się odsunąć, lecz Shane trzymał ją mocno. Tkliwość, jaką przed chwilą dla niego odczuwała, uległa zmianie. Mały, pozbawiony matki chłopiec, żyjący wciąż w duszy Shane'a, mógł ją wzruszać, ale to przecież mężczyzna fascynował ją najbardziej.

- Mam ochotę, ale nie na lunch.

Wyzwoliła się z jego objęć i stała przed nim drżąc. Nie mogła udawać, że nie wie, o czym mówi.

- Shane, po naszej wspólnej nocy postanowiłam, że nigdy nie stracę znów panowania nad sobą. Nie zmienię tego postanowienia. Nawet dla ciebie.

- Nie proszę, żebyś je zmieniła. Nie chcę cię popchnąć do czegoś, czego nie chcesz.

Shane nagle chwycił ją i zaczął tańczyć dookoła pokoju. Wreszcie posadził ją w bezpiecznej odległości od siebie.

- Gzy masz zamiar nakarmić mnie, kobieto?

- Kawa prawdopodobnie wystygła, ale jedz kanapki, dopóki jej nie podgrzeję.

Poszedł za nią do kuchni, a ona obsługiwała go, z przyjemnością grając tradycyjną kobiecą rolę, która przedtem nigdy jej nie pociągała.

- Ilu mężczyzn prosiło cię o rękę? - Shane kończył drugą kanapkę i sięgał po trzecią.

Zadowolona była, że uważał ją za dość atrakcyjną, by sądzić, że mężczyźni oświadczają się jej całymi stadami. Uśmiechnęła się i spuściła oczy, udając skromność.

- Nie mogę powiedzieć, że wielu - odrzekła, rozciągając słowa jak ludzie z Południa.

- Więcej niż dziesięciu, mniej niż dwudziestu?

- Właściwie tylko jeden - przestała udawać. - Dałam bardzo jasno do zrozumienia innym, że nie mam zamiaru angażować się w nic poważnego.

- A co z tym jednym?

- Zniknął po oświadczeniach i nie widziałam go przez siedem lat.

- A potem wrócił i oświadczył się znowu. Wendy odłożyła kanapkę i otarła usta.

- Tak - powiedziała miękko. - Wierzę, że tak.

- A może przypadkiem wiesz już, co mu odpowiesz?

Znów ogarnęło ją przemożne pragnienie, by wyrzec „tak”, by rzucić się ku niemu i scałować urazę z jego twarzy. Zaciśnęła mocno dłonie i patrzyła na zbielełe kostki.

- Nie znam jeszcze odpowiedzi. On musi zrozumieć, że na to potrzeba czasu.

- Zrozumie.

- Więc jest cierpliwy.

- Ale jego cierpliwość ma granice - ostrzegł Shane. Wstał i spojrzał na zegarek. - Jestem umówiony w banku. - Wyciągnął rękę i zwichrzył jej loki, jakby chcąc powiedzieć, że rozumiał i nie gniewa się. - Zjesz ze mną kolację w poniedziałek? To będzie mój pierwszy odpoczynek. Pomyślałem, że jeśli nie będziesz zajęta, moglibyśmy pojechać do Atlanty.

Kochała to miasto i tego mężczyznę również. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, gdy zdała sobie sprawę, jak łatwo ta ostatnia myśl przemknęła do jej świadomości. Już czas, by skończyć z udawaniem, że nie wie, co czuje do Shane'a.

- Pojadę - obiecała potulnie.

- Zabiorę cię około w pół do szóstej.

- Będę czekać.

Wendy odchyliła się na czerwone aksamitne oparcie składanego siedzenia i obserwowała Shane'a, wpatzonego w drogę, po której jechali. W ten poniedziałek znów lało i międzymiastowa autostrada była śliska. Ale teraz przestało już padać i poprawiła się widoczność. Właściwie pogoda zupełnie nie obchodziła Wendy. Urzekł ją widok Shane'a w białe - niebieskim garniturze z lekkiej wełny i słuchała jego opowieści o życiu na plantacji bawełny.

- Tyle mi opowiadasz i ani razu nie wspomniałeś o córce właściciela. - Uniosła się lekko, by lepiej widzieć jego twarz, na której malowała się mieszanina męskiej dumy i rozbawienia.

- Co chcesz wiedzieć? - Nie odrywając wzroku od jezdni, Shane otoczył jej szyję ramieniem.

- Niewiele. Ale opowiedz mi wszystko.

- Zajęłoby to całą noc. Jak handel, to handel. Jeśli ja ujawnię swoje tajemnice, musisz mi opowiedzieć o wszystkich mężczyznach w swoim życiu.

- Zajęłoby to cały tydzień.

- Twoi rodzice mogą się zdenerwować, jeśli aż tak długo zatrzymam cię w Atlancie. - Shane znów ścisnął ją lekko za kark, a potem położył z powrotem rękę na kierownicy. - Córka właściciela, Nelly...

- Nelly! - Wendy nawet nie próbowała opanować wybuchu śmiechu. - Shane, jak mogłeś traktować serio kogoś, kto ma na imię Nelly? Mieliśmy starą kobyłę, która nazywała się Nelly.

- Nelly można było traktować serio. Wysoka, ciemnowłosa, wspaniała. I nie miała zwyczaju, powtarzam, nie miała zwyczaju wyśmiewać się z imion innych kobiet.

- A o ilu imionach kobiecych rozmawialiście?

- O twoim. Tuż przed moim powrotem do hrabstwa Hall.

- Och. - Wendy natychmiast spoważniała.

- Powiedziałem jej, że nigdy o tobie nie zapomniałem i że chciałbym spróbować rozwiązać nasze problemy. I na tym się skończyło.

- Kochała cię?

- Nelly kochała mnie po swojemu. Gdybym pozostał na plantacji i przejął ją w końcu jako jej mąż, kochałaby mnie stale. Ale gdybym próbował wrócić razem z nią do hrabstwa Hall, jej miłość natychmiast by zgasła, nie była bowiem bezwarunkowa.

Słowa Shane'a trafiły Wendy w czułe miejsce i zrobiło się jej nieswojo. Czyż jej własna

miłość nie była również zależna od warunków zewnętrznych?

- Może ona po prostu chciała żyć inaczej - powiedziała cicho. - Czasami nawet miłość nie może przewyciężyć wszystkiego.

- Nie wiem. Zbyt rzadko miałem do czynienia z miłością, by to móc ocenić.

A powinien mieć z nią do czynienia częściej. Tego Wendy była pewna. Shane potrzebował miłości, wiele miłości, bezwarunkowej, szczerzej, bez zastrzeżeń. Zasługiwał na kogoś, kto mógłby mu ją dać bez względu na warunki, w jakich żył.

Przerwał jej rozmyślenia.

- Nie bierz wszystkiego, co mówię, tak poważnie, Wendy. Dzisiaj mamy się bawić.

Okazało się, że Shane był zagorzałym kinomanem. Przepadał zwłaszcza za komediami muzycznymi. Zanim wyjechali, przekąsili coś w domu Wendy. Postanowili więc przed kolacją pójść do Fox Theatre na ulicy Peachtree, by zobaczyć „Południowy Pacyfik”.

Kinoteatr Fox był zaprojektowany jako oryginalny mauretański dziedziniec i uchodził za jeden z ostatnich wielkich budynków kinowych w Stanach Zjednoczonych, drugi co do wielkości po Radio City Music Hall w Nowym Jorku. Za niewielką opłatą Wendy i Shane obejrzeli kreskówkę i film, siedząc pod gwiazdami przebłyskującymi wśród płynących po niebie chmur.

- To jest nasza pierwsza randka - rzekła Wendy, gdy Shane wjeżdżał samochodem w ulicę Peachtree.

- Naprawdę? Jestem bardzo rad, że wreszcie możemy się cieszyć swoim towarzystwem. Nie znałem cię od tej strony, bo nigdy nie wychodziliśmy razem.

- Nie wiedziałam, że lubisz stare filmy.

- A ja, że lubisz prażoną kukurydzę. Czy zostawiłaś jeszcze trochę miejsca na kolację?

- Oświadczam, że prażona kukurydza składa się głównie z powietrza - powiedziała Wendy, patrząc w sufit.

- To dobrze. Mam nadzieję, że będzie ci smakować jedzenie u Daileya.

Smakowało. Podobał jej się wystrój wnętrza, odnowionego w stylu lat dwudziestych, a także kelner, recytujący bezbłędnie długą listę potraw, i jeszcze drożdżowe paszteciki, które przypominały niesłodkie, sycące pączki. Spodobała się jej sałata i kaczka ze śliwkami oraz bufet z deserami po przeciwnej stronie sali, nęcący już w czasie posiłku.

- Oczy ci błyszczą. - Shane nakrył ręką dłoń Wendy, a potem podniósł do ust i pocałował. - Nigdy nie widziałem, byś była tak odprężona i szczęśliwa.

- Czuję się kimś innym, gdy opuszczam dom. - Wendy pogładziła z przyjemnością jego szorstki policzek. - I czuję się kimś innym sam na sam z tobą, bez całej kompanii krewnych.

- Wiejska dziewczyna, miejskie serce.

- Nigdy nie mieszkałam w mieście, więc nie wiem, czy będzie mi się podobało. - Starła się tak dobrać słowa, by nie brzmiały zbyt zdecydowanie. - Może w końcu okaże się, że wszystko jest inne, niż sobie wyobrażałam.

- Boję się, że będzie ci się tu bardzo podobało. W Atlancie jest wszystko. Spędziłem tu masę czasu i ani przez chwilę miasto nie wydawało mi się nudne.

Wendy nigdy nie przyszło do głowy, że Shane mógłby również lubić miasto.

- Czy mógłbyś czuć się tutaj szczęśliwy? - Utkwiła w nim oczy. Wiedziała, jak ważna będzie ta odpowiedź.

- Nie. - Shane także zrozumiał sens pytania, ale odpowiadając odrzucił kompromis. - Zrobiłbym to dla ciebie, Wendy, gdybym mógł, przysięgam. Ale jestem, czym jestem, farmerem. Niczym więcej. Proponowano mi tutaj pracę i z moim wykształceniem i doświadczeniami mógłbym dobrze zarobić na życie dla nas obojga. Ale nie znoszę tego, to zniszczyłoby nasz związek.

- Czy możesz zrozumieć, że to samo odnosi się do mnie?

- Myślę, że jesteś niezdecydowana, ponieważ nigdy nie byłaś w stanie dokonać wyboru, mając pełne rozeznanie sytuacji. Zawsze ci mówiono, co powinnaś czuć i myśleć. Pod powierzchownością pięknej, dojrzałej kobiety kryje się wolny duch, zbuntowany przeciw zaszufladkowaniu. Częściowo dlatego zakochałaś się we mnie. Byłem dla ciebie pociągający jako zakazany wówczas owoc. Teraz pragniesz czegoś zupełnie innego niż to, co znałaś dotychczas, a to oznacza życie w mieście.

- To miło, że mężczyzna, który mnie podobno kocha, zamyka mnie w stereotypie zbuntowanej smarkuli. - Wendy popatrzyła na niego z gniewem.

- Pamiętaj, że wiem coś niecoś o zbuntowanych smarkaczach. Odniosłem bezwzględny sukces w tej roli. Wcale tak o tobie nie myślę. Wydajesz mi się beztroską, wielkooką małą wrózką, która musi rozwinąć skrzydła. Wolałbym jednak, żebyś to zrobiła wcześniej, zanim wróciłem.

- Jesteś pewny, że przyfrunęłabym do ciebie z powrotem!

- Muszę w to wierzyć. Zbyt cię potrzebuję, by stracić nadzieję.

- Shane, czy możesz na mnie poczekać? Czy możesz mi dać czas na rozwinięcie skrzydeł?

- Ale przecież nie prosisz o dni, ani nawet o tygodnie, prawda?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Czekałem siedem lat. Powiedziałem ci kiedyś, że moja cierpliwość ma granice.

Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym dzielić życie, Wendy.

- Przynajmniej nie mówisz „nie”. - Próbowała się uśmiechnąć.

Nie uśmiechnął się w odpowiedzi. Jego słowa zabrzmiały jak podzwonne dla jej wszystkich nadziei.

- Mówię „nie”. Ale ty nie chcesz tego słyszeć.

Nie było gwiazd ani księżyca. Wracali do domu w milczeniu, każde z nich zatopione w swych posępnych myślach. Wysiedli z samochodu Shane'a i nic nie mówiąc, poszli ścieżką ku werandzie.

- Pierwsza randka, ostatnia randka - głos Shane'a ujawniał jego rozgoryczenie.

- Shane, jeszcze nie wiem, co powinnam zrobić. Powiedziałeś, że nie będziesz mnie ponaglał. Daj mi trochę więcej czasu. - Wendy niemal siłą otoczyła go ramionami w pasie. Jego napięte mięśnie stawiały zdecydowany opór.

- Cofam swoje oświadczenia.

Nie wiedziała nawet, że płacze, dopóki nie poczuła na policzku, jak mokra jest jego koszula. Gładził jej włosy z wyraźnym ociąganiem.

- Kocham cię - głos Wendy tłumili łzy, płynące nieprzerwanie.

- Wiem, ale to nie ma znaczenia. Nie możemy znaleźć wyjścia, prawda?

- Czekaj na mnie. Gdy tylko będę mogła, będę przyjeżdżała do domu w odwiedziny. Ty możesz przyjeżdżać do Atlanty spotykać się ze mną. Mamy szansę to jakoś załatwić. Daj mi rok, Shane.

- Nie mogę. To nie byłoby w porządku wobec nas obojga. Potrzebujesz wolności, a nie otwartej klatki. Co byś wiedziała o sobie po roku, gdybyś wciąż przylatywała do mnie z powrotem?

- Nie przekreślaj naszej przyszłości, Shane.

- Nie chcę składać obietnic, których nie mogę dotrzymać.

I wtedy zabrakło im już słów. Trzymali się mocno w objęciach, jakby mogli w ten sposób przeciwstawić się niewidzialnym siłom, które stale ich rozdzielały. W końcu Shane cofnął się i odepchnął ją od siebie.

- Idź do domu, Wendy.

- Nie chcę odejść.

- Wejdz do domu.

- Wyjdę za ciebie. Damy sobie radę. - Wyciągnęła do niego ręce w błagalnym geście.

Stał milcząc, z nieruchomą twarzą, w słabym świetle lampy na werandzie.

- Nie.

Ukryła twarz w dłoniach. Widząc jej ból, zamknął oczy.

- Wendy, posłuchaj. Słyszała tylko odgłosy nocy.

- Czy słyszysz śpiew ptaka - przedrzeźniacza?

Poczuła, że łzy znów jej płyną po policzkach.

- Przedrzeźniacz umie naśladować dziesiątki innych ptaków, ale nie potrafi znaleźć własnej melodii. Nigdy bym nie wiedział, czy to, co jest między nami, to prawda, czy też imitacja czegoś, co mogłoby nas łączyć w innych okolicznościach. Więc odfrun, ptaszku - przedrzeźniaczu. Naucz się własnej piosenki i bądź szczęśliwa.

Otworzył oczy i na chwilę podniósł rękę, jak gdyby chciał dotknąć jej łez. Jednak w ostatnim momencie zmienił zamiar, odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

Gdzieś w dali ptak - przedrzeźniacz zmienił melodię. Wendy wiedziała, że płacze nad nią.

ROZDZIAŁ ÓSMY

„Witajcie w Atlancie!”

Wendy przeszła obok drewnianej tablicy, ustawionej na wąskim paśmie ziemi rozdzielającym dwie ruchliwe jezdnie. Nie zwróciła na nią uwagi. Atlanta stała się jej domem, więc dawno już zatraciła odruchy oszołomionej turystki. Palcami w cienkich rękawiczkach z brązowej skórki z trudem próbowała wyjąć klucze od mieszkania. Wzdłuż Virginia Avenue dmuchał zimny wiatr. Z ulgą wślizgnęła się do niewielkiego budynku z jasnej cegły, obsadzonego krzakami ostrokrzewu o połyskliwych liściach. Wtedy dopiero mogła ściągnąć rękawiczki i poruszyć palcami, by przywrócić krążenie krwi. Tym razem znalazła już klucz. Po chwili szła po schodach do swego apartamentu. Czyż nie powinna jej przywitać fala ciepła, kiedy po całym dniu ciężkiej pracy wracała do własnego mieszkania i wiedziała, że ma wieczór dla siebie? Wendy potrząsnęła głową, by odpędzić te nierealistyczne marzenia, i zaczęła zapalać światła oraz uruchamiać ogrzewanie. W ciągu dnia utrzymywała tylko taką temperaturę, by nie zmarzły jej ananasowce, choć właściwie niezbyt jej na tym zależało.

- Wszyscy teraz szaleją za ananas owcami, kochanie - oznajmiła przyjaźnie kwiaciarka, gdy Wendy poszła kupić coś dla ożywienia mieszkania. - Po prostu wlej tu trochę wody - powiedziała, wskazując na otwór w środku rośliny - i nigdy nie będziesz miała z tym więcej roboty.

Wendy żałowała, że nie miała nic więcej do roboty. Chciała czuć ziemię pod palcami. Ona, która zwykle oddawała całe swoje kieszonkowe Sandy, by siostra plewiła powierzoną jej część ogrodu warzywnego, teraz tęskniła za grzebaniem się w ziemi. Ale jej ananasowce nie potrzebowały ziemi. Rosły na mchu torfowym, a niektóre zwisały z półek na ścianach.

Ich dobrą stroną było to, że ubarwiały pomieszczenia, którym rozpaczliwie przydałyby się żywsze kolory. W Atlancie było drogo, a Wendy zdecydowała się zamieszkać w jednej z najładniejszych dzielnic, rezygnując z większego i tańszego mieszkania dla bezpieczeństwa i przyjemnego otoczenia. W końcu uda jej się pomalować ściany i kupić nowe meble. Jej gospodyni zgodziła się, by następnego lata usunąć wykładzinę i odnowić parkiet. Ale mieszkanie miało jedną zaletę, która sprawiała, że dało się w nim mieszkać nawet bez zmian. Była to niewielka, kryta weranda, wychodząca na Virginia Avenue. Chociaż Wendy nie lubiła przyznawać się do takich irracjonalnych kaprysów, wiedziała, że wynajęła mieszkanie wyłącznie z tego powodu. Weranda nie była potrzebna w zimnych dniach grudnia, ale pomogła jej przetrwać najbardziej samotną jesień jej życia i będzie błogosławieństwem, gdy

przyjdzie wiosna.

Wendy zrzuciła błyszcząca złotą spódnicę oraz bluzkę i przebrała się w workowate spodnie khaki i obcisły pomarańczowy sweter. Nie zdjęła wielkich kolorowych kolczyków, które teraz zawsze nosiła. Za radą przyjaciółki poszła do miejscowego salonu fryzjerskiego i zapłaciła masę pieniędzy za obcięcie i ułożenie włosów. Znikły jej puszyste loki. Tak samo mógł ją ostrzyć fryzjer ojca. Nosiła bardziej jaskrawy makijaż i dużo biżuterii, chcąc podkreślić, że jest bardzo kobieca. Nikt nie zgadłby, że niedawno przyjechała z farmy z Georgii.

- Wendy!

- Idę.

Nie wkładając butów, otworzyła drzwi swej gospodyni, Darcy Coleman. Darcy była właścicielką domu, rozwodowego prezentu od swego trzeciego męża, który zrezygnował z pieniędzy pod warunkiem, że nie będzie się z nim nigdy kontaktować. Darcy twierdziła, że to był najlepszy interes w jej życiu.

- Co robimy dziś z kolacją?

Wendy spojrzała na zegarek. Zapadł już wieczór, ale jej żołądek nie zauważył tego faktu.

- Nie jestem bardzo głodna. A Jason zabierze mnie o dziewiątej do „The Limelight”.

Wendy zaprosiła przyjaciółkę do środka. Darcy była o dwadzieścia lat starsza od niej i doświadczona w stopniu, który Wendy wydawał się przerażający. Darcy robiła w życiu wszystko, a teraz osiadła w wygodnym mieszkaniu, by napisać o tym książkę. Jeśli książka będzie tak interesująca, jak sama Darcy, zostanie bestsellerem.

Właściwie osoba Darcy była drugą przyczyną, dla której Wendy wybrała to mieszkanie. Wydawało się dość dziwne, że rodzice zaakceptowali Darcy jako odpowiednią przyzwoitkę dla swojej córki. Nie byli zadowoleni, że Wendy chciała mieszkać sama. Doszło nawet do awantury, której Wendy nie mogła zapomnieć. Ale kiedy matka przyjechała, by skontrolować mieszkanie i poznać Darcy, udzieliła temu układowi swego błogosławieństwa. Wendy nigdy się nie dowiedziała, co zaszło między dwiema kobietami, ale Darcy stała się odtąd jej wierną towarzyszką.

- Co było w pracy?

- Byłam cały dzień w sklepie w centrum handlowym przy Peachtree. Mieli ogromny kłopot z dostawą i zmarnowałam czas, próbując to załatwić.

- Nadzwyczajne pogotowie awaryjne. - Darcy zanurzyła palce w swoje siwiejące włosy. - Czy to nie staje się nudne?

- Nie powinnam się skarżyć. Byłam szczęśliwa, że dostałam tę pracę. Gdyby mój szwagier, Tyler Hamilton, nie przedstawił mnie pani Britt, ugrzęzłabym na tanim bazarze. Dowiedziałam się dzisiaj, że pani Britt w lutym odchodzi na emeryturę. Zarekomenduje mnie na swoje miejsce.

Darcy gwizdnęła.

- Sześć miesięcy na posadzie i już stajesz się kierowniczką. To jest bomba.

- To byłby poważny awans. Chodziłabym także na wszystkie wystawy, by zaopatrywać trzy sklepy.

- Czy jesteś jeszcze zadurzona w Jasonie? - spytała zniecierpliwiona Darcy.

Wendy przytknęła rękę do ucha i podniosła brwi.

- Myślałam, że słyszę głos matki.

- Nikt mnie dotąd nie oskarżał, że jestem macierzyńska.

Wendy przyglądała się przyjaciółce. Czterdziestotrzyletnia Darcy bynajmniej nie była macierzyńska. Jeśli Wendy udawało się sprawiać wrażenie osoby wyrafinowanej, Darcy wyglądała, jakby należała do śmietanki towarzyskiej i nie była to świadoma poza. Darcy zupełnie nie dbała o to, co sobie o niej ktoś pomyśli. Przeczuwała modę, zanim jeszcze stworzyli ją projektanci i potrafiła przybrać wygląd osoby bajecznie bogatej, nosząc kostium do joggingu z hasłami ostatnich wyborów.

- Nie jestem zadurzona w Jasonie. To miły facet.

- To japiszon*.

- No dobrze, ale to miły japiszon.

Wendy spotkała Jasona w klubie sportowym niedaleko jednego ze sklepów, w którym była zastępczynią kierownika. Klub mieścił się w ekskluzywnym hotelu i za miesięczną składkę członkowską Wendy mogła korzystać z sali gimnastycznej, sauny i basenu. Jedną z osobliwości życia w mieście było to, że musiała płacić za wysiłek fizyczny, który stanowił część jej codziennego życia na farmie rodziców.

- To mięczak - rzuciła Darcy lekceważąco.

- Jason pływa o wiele lepiej ode mnie i podnosi takie ciężary, że od samego patrzenia na to bolą mnie plecy. - Ton Wendy nie był pojednawczy. Ona i Darcy sprzeczały się o swoich chłopców.

- Każdy facet, który spędza czas wolny na czytaniu książek o gatunkach win i na

* Żartobliwe spolszczenie amerykańskiego skrótu „Yuppie”, czyli young urban professional, określającego młodego, mieszkającego w dużym mieście, wykształconego przedstawiciela prestiżowych zawodów i kadry kierowniczej, poświęcającego się przede wszystkim karierze (przyp. tłum.).

marzeniach o przyszłych wakacjach, jest mięczakiem.

Wendy przypomniała sobie słowa Darcy o dziewiątej wieczorem, kiedy Jason wstąpił po nią. Bynajmniej nie wyglądał na mięczaka. Był ogromny, o wiele wyższy od Shane'a, który stanowił w jej oczach miarę wszystkiego. Miał szerokie ramiona, wąską talię i biodra. Ubierał się w kosztowne, tradycyjne garnitury, które odpowiadały jego pozycji maklera giełdowego i pasowały do jasnych włosów i niebieskich oczu. Wendy wiedziała, że w całej Atlancie serca kobiet topniały, gdy Jason Billings przechodził obok.

A tańczył cudownie. „The Limelight”, jeden z pierwszorzędných nocnych lokali Atlanty, był dla Jasona doskonałym miejscem do popisu. Razem z mimami, sztucznym śniegiem i nieskazitelnym parkietem tanecznym zaspokajał jego snobizm. Dla Wendy stanowił doświadczenie w obcym jej świecie. Z tego samego powodu cieszyła się towarzystwem Jasona.

Było już dobrze po północy, gdy odwiózł ją do domu.

- Kiedy pozwolisz mi zostać na noc?

Wendy nie była pewna, czy Darcy uważałaby teraz za mięczaka ten ogromny, zwalisty okaz męskości. Jason niemal dyszał pożądaniem.

- Słuchaj, Jason. Powiedziałam ci już przedtem, że jeśli tego właśnie chcesz od naszej przyjaźni, to tracisz pieniądze na niewłaściwą kobietę.

- Mogę cię namówić, byś zmieniła zdanie. - Otoczył ją ramionami i lekko przytulił. - Jesteś teraz dużą dziewczynką, Wendy.

- Staroświecką dużą dziewczynką. - Wbiła mu łokcie w żebra. - Nie pójdę z tobą do łóżka.

- To z kim pójdziesz?

Wendy potrząsnęła głową. Wiedziała, że pytanie zostało zadane z czystej ciekawości. Jason nie mógłby wyobrazić sobie kogoś, kto nie romansuje na prawo i lewo.

- Z nikim, Jason. Sypiam sama.

- To prawdziwe marnotrawstwo.

- Moje ciało nie jest towarem, którego musiałbyś żałować. - Wsunęła się z jego ramion i odwróciła się, by otworzyć drzwi mieszkania. - Jeśli tego nie rozumiesz, to nie fatyguj się więcej.

- Czy chcesz wyjść za mąż? - Jason zmarszczył czoło, porażony złożonością sytuacji.

- Jeśli to mają być oświadczyzny, to najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek słyszałam. - Śmiech Wendy rozległ się w pustym holu.

- Boże, ja się nie oświadczam. Ja tylko próbuję zorientować się, czy... - urwał w pół

słowa.

- Czy lubię mężczyzn? - Wendy roześmiała się znowu. - Zapewniam cię, że tak, tyle że nie w łóżku, dopóki nie mam pierścionka na czwartym palcu lewej ręki. Przykro mi, Jason. Tym razem natknąłeś się na dinozaura.

Wendy zamknęła za sobą drzwi wiedząc, że Jason jeszcze stoi w holu i zastanawia się, jak obejść jej kodeks moralny. Starła z twarzy makijaż i umyła zęby. Rzuciła obok sofy obcisłą czarną sukienkę, którą miała na sobie i wciągnęła starą futbolową koszulkę, która należała do jednego z jej braci. Jednak przy każdym jej ruchu nikał komizm rozmowy z Jasonem.

Leżała w ciemnościach rozmyślając, ile jeszcze razy będzie musiała przeżyć taki osobliwy konflikt. Była miejską dziewczyną z wiejskimi zasadami. Oczywiście nie wszystkie dziewczyny z miasta romansowały na prawo i lewo i nie wszystkie ze wsi były święte, ale ludzie, wśród których żyła teraz Wendy, uważali przelotne związki za rzecz oczywistą. Inaczej niż ludzie, którzy ją wychowali.

A potem, jak zawsze tuż przed zaśnięciem, pomyślała o Shanie. Nie było nic przypadkowego w ich związku. Kochała go teraz równie mocno albo jeszcze mocniej niż kiedykolwiek. Ale każdy dzień oddalał ją coraz bardziej od niego. Nie wiedziała, czy istnieje jeszcze droga powrotu.

W ciągu pięciu miesięcy po przeprowadzce do Atlanty tylko raz była w domu. Shane'a nie widziała wcale. Wreszcie zdobyła się na odwagę i zapytała Sarę, co o nim wie. Usłyszała, że Shane poważnie związał się z inną kobietą, Nancy Gwynn, wdową po farmerze, mającą małego synka. Wszyscy oczekiwali, że Nancy i Shane się pobiorą. Wendy jak ptak - przedrzeźniacz szukała własnej melodii. Shane, jak się zdawało, swoją już znalazł.

Czekając w kolejce, by wysłać do domu paczki świąteczne, Wendy zdecydowała się wrócić na Boże Narodzenie do hrabstwa Hall. W Wigilię wszystkie sklepy jej firmy były otwarte do dziewiątej wieczorem, ale potem zamykano je aż do drugiego stycznia. Była to kosztowna tradycja, lecz właściciele nie chcieli z niej rezygnować.

Prawie przez cały grudzień Wendy mówiła sobie, że powinna spędzić przerwę świąteczną, malując swoje mieszkanie i szukając możliwie tanich mebli. Był to słaby pretekst, żeby nie natknąć się na Shane'a lub na plotki o nim. Nie była pewna, czy potrafiłaby to wytrzymać.

Ale kiedy czekała w kolejce na wysłanie starannie wybranych prezentów, zdała sobie sprawę, że stała się tchórzem. Tęskniła za rodziną, chciała mieć ich wokół siebie w tych ulubionych przez nią dniach. Potrzebowała powrotu do korzeni, choćby tylko na krótko.

W Wigilię pięć po dziewiątej wieczorem włączyła się w ruch uliczny Atlanty, posuwając się w kierunku autostrady międzystanowej.

Wszyscy czekali na nią. Nawet ojciec, który musiał wstać przed świtem pierwszego dnia świąt. Wszyscy członkowie rodziny kolejno całowali Wendy, witali ją okrzykami i dusili w uściskach. Wendy zasnęła w swoim własnym łóżku, a spokojne oddechy Sandy, Sary i małej Bonnie przerywały wiejską ciszę. Była bardzo szczęśliwa, że jest w domu.

- Trudno mi przyzwyczać się do nowej Wendy. - Sandy głaskała jej głowę, jakby siostra była francuskim pudlem - medalistą. Wendy chodziła na czworakach za Bonnie, która dreptała wokoło pokoju, ciągnąc za sobą żyrafę na kółkach.

- A co o niej myślisz?

- Myślę, że jesteś taka sama, tylko w miejskim opakowaniu.

- Ja też tak myślę.

Sandy usiadła na podłodze obok siostry i odrzuciła na plecy swój długi złoty warkocz.

- Jak ci się właściwie żyje?

Wendy próbowała odpowiedzieć uczciwie.

- Czasami samotnie, czasami szałowo. Powinnaś wiedzieć, przecież mieszkałaś sama w Cameron, zanim wyszłaś za Tylera.

- Ale nie byłam zakochana w mężczyźnie, którego zostawiłam.

Wendy nie odpowiedziała.

- Czy mam przestać?

- Nie. - Wendy pokręciła głowę. - Nie chciałam zostawić Shane'a. Ale nie kochał mnie dość mocno, by dać mi czas, jakiego potrzebowałam. Stawiał żądania. A ja nie mogłam ustąpić. Teraz, jak rozumiem, ożeni się z Nancy Gwynn.

- Pamiętam ją. Nazywała się Nancy Burns, kiedy chodziła do jednej klasy ze Stacey i Shane'em. Jej mąż, Robert, zginął parę lat temu w wypadku.

- Sara mówi, że ma synka. Od razu obdarzy Shane'a rodziną, której on tak bardzo pragnie. - Wendy nie była w stanie ukryć swojej goryczy.

- I w ten sposób pozwolisz Nancy Burns zabrać sobie mężczyznę, którego kochałaś od dzieciństwa.

- Gdyby Shane mnie kochał, czy teraz przymierzałby się do małżeństwa z inną kobietą?

- A skąd wiesz, czy to jest poważny związek? Sara może tylko powtarzać to, co widzi i słyszy, a nie to, co Shane czuje. Tylko on może ci to powiedzieć.

- Ale Shane nie przyszedł, by mi cokolwiek powiedzieć.

Sandy wstała, pociągając Bonnie za sobą.

- W takim razie ty musisz iść do niego.

- Kupiłam mu prezent gwiazdkowy. Czy możesz w to uwierzyć?

- Tak.

- Boję się.

- W porządku. Tak powinno być. - Sandy przyjrzała się siostrze. - Wiem, że to śmieszne, udzielać ci rad w sprawach mody, ale kiedy się z nim spotykasz, wkładaj coś spokojnego i kobiecego. Nie jestem pewna, czy Shane zaakceptuje twoją fryzurę albo to ubranie.

Wendy spojrzała na swoje białe dżinsy upstrzone błyszczącymi wzorkami i jaskrawy pomarańczowy sweter, który zgodnie z modą uparcie zsuwał się z jednego ramienia, by ukazać bieliznę.

- Chyba pożyczę coś od was.

- Od tego zacznij.

Dopiero wtedy, gdy obiad świąteczny stał się dalekim wspomnieniem, Wendy poczuła, że może się wymknąć. Pożyczyła od Sandy zielony kaszmirowy sweter oraz ciemną kraciatą spódnicę i wyjątkowo wiele czasu poświęciła na subtelny i twarzowy makijaż. Z włosami nie mogła już zrobić nic, pozostało jedynie wierzyć, że szybko odrosną. Dla równowagi włożyła swoje najlepsze złote kolczyki.

Nie miała zamiaru kupować Shane'owi prezentu, ale w antykwariacie wpadł jej w ręce oryginalny album z piosenkami z filmu „Południowy Pacyfik”. Płyta była w doskonałym stanie i Wendy wiedziała, że będzie mu się podobać. Wiedziała również, że za każdym razem, kiedy ją nastawi, powrócą wspomnienia. Nie potrafiła się oprzeć.

Sandy sugerowała, by zadzwoniła do Shane'a, ale myśląc o tym Wendy straciła odwagę. Wiedziała, że w czasie rozmowy z nim nie zdobędzie się na to, by spytać, czy może przyjechać do niego i wręczyć prezent świąteczny. Zdecydowała, że postara się, by to wyglądało tak, jakby przejeżdżała w pobliżu, rozdając prezenty przyjaciołom. Jej plan miał tyle dziur co ser szwajcarski, ale był to najlepszy pomysł, jaki przyszedł jej do głowy.

Nie było jeszcze zbyt późno, ale zimowe niebo pociemniało, gdy opuszczała farmę rodziców. Jadąc do Shane'a, wybrała dłuższą drogę, podobnie jak ostatnim razem. Była zaskoczona, że tak szybko dotarła na miejsce, choć rzadko dodawała gazu. Wjechała na drogę okrążającą posiadłość Reynoldsów o wiele wcześniej niż pragnęła.

W chłodną cichą noc zimową dom Shane'a wyglądał przytulnie i gościnnie. Na werandzie paliło się światło, jak gdyby oczekiwał jej przyjazdu. Spostrzegła natychmiast, że

jego samochód i ciężarówka są zaparkowane od frontu.

Shane był w domu, a ona zatrzymała wóz na zewnątrz, próbując nabrać odwagi. Shane był w domu, a ona siedziała jak głupia, przyklejona do siedzenia samochodu.

- Dalej, Wendy. Pozbieraj się. Potrafisz - powiedziała sobie zdecydowanie.

Shane widocznie usłyszał jej samochód, ponieważ otworzył frontowe drzwi i wyszedł na werandę. Gdy się zbliżała, stał z rękami w kieszeniach.

- Halo, Shane. Wesołych świąt.

- Wesołych świąt, Wendy.

- Przyniosłam ci prezent gwiazdkowy.

- Doprawdy? - Nie zachowywał się wrogo, ale robił wrażenie całkowicie nieprzystępnego.

Wendy szukała sposobu wyjścia z impasu.

- Tęskniłam za tobą.

Jedynym znakiem, że usłyszał jej słowa, było lekkie poruszenie ramion, jak gdyby bezwiednie westchnął. Wendy chciała zniknąć z werandy i położyć się na zimnej, twardej ziemi, aby opanować gniew, który mógłby trwać aż do Nowego Roku. Zamiast tego podała mu prezent.

- Pomyślałam o tobie, gdy to zobaczyłam. Nie mogłam się oprzeć.

Shane przyglądał się jej, kiedy zdzierała błyszczące zielone opakowanie z albumu. Potem uśmiechnął się. Nie był to najcieplejszy z jego uśmiechów, ale na początek dobre i to.

- To pomysłowy prezent. Dziękuję. - Jego oczy przywarły do jej ust i na chwilę Wendy wstrzymała oddech. Potem podszedł i pocałował ją w policzek. - Marzniesz. Zaprosiłbym cię do środka, ale...

- Shane? - Ciche wołanie z wnętrza domu wyjaśniło Wendy przyczynę, dla której wciąż jeszcze stali na dworze. Otworzyły się frontowe drzwi i na werandę wyszła ładna młoda kobieta z długimi brązowymi włosami. - O, przepraszam. Nie wiedziałam, gdzie jesteś.

- W porządku, Nancy. Przedstawiam ci Wendy MacDonald. Wendy, to jest Nancy Gwynn. - Shane cofnął się, pozwalając obu kobietom przyjrzeć się sobie dokładniej. Nancy była wyższa od Wendy, serdeczna, miała życzliwy uśmiech.

- Shane opowiadał mi o rodzinie MacDonaldów. Znałam dobrze Stacey. A więc jesteś jej młodszą siostrą.

Zdumiewające, że w uwadze Nancy nie było chyba złości. Mówiła i wyglądała równie przyjaźnie.

- Miło mi poznać cię, Nancy. - Wendy zmusiła się do uśmiechu. - Lepiej będzie, jak

odjadę, bo muszę jeszcze oddać resztę prezentów.

- Nie odchodź, proszę. Wejdz do środka i najpierw ogrzej się trochę. Na dworze jest mroźno. Zrobię ci kawy.

Wendy nie mogłaby sobie wyobrazić niczego gorszego na świecie niż widok obcej kobiety, krzątającej się w kuchni Shane'a.

- Nie, dziękuję. Naprawdę muszę już iść. - Odwróciła się i zeszła po schodkach werandy.

- Mamo, gdzie jest Shane? - Mały chłopczyk w puszystej żółtej piżamce stanął w drzwiach, trzymając wytarty biały kocyk. - O, tu jest! - Chłopiec z wrzaskiem rzucił się w otwarte ramiona Shane'a.

Shane odwrócił się do Wendy.

- To jest Robby Gwynn Trzeci. Robby, to jest Wendy.

Wendy głęboko zaczerpnęła tchu, pozwalając, by chłodne powietrze poraziło jej płuca.

- To już młody mężczyzna, Nancy.

- Mam z nim dużo roboty.

- Teraz chcę ciasta - powiedział nadąsany Robby.

Nancy wzruszyła ramionami z zakłopotaniem.

- Właśnie kończyliśmy kolację.

- Przykro mi, że przeszkodziłam. Wracajcie szybko do środka.

Przed wejściem do wozu odwróciła się i pomachała ręką.

- Wesołych świąt.

Nancy weszła do domu, ale Shane stał na werandzie, trzymając Robby'ego w ramionach. Był tam jeszcze, gdy Wendy zawróciła samochód i odjechała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przez okna mieszkania Wendy mogła widzieć pączki na drzewach dereniowych po drugiej stronie ulicy. Wiosna przyszyła już do Atlanty, lecz jej to zupełnie nie obchodziło.

- A więc co brzoskwinia z Georgii myśli o Wielkim Jabłku?* - Darcy przycupnęła na kanapie patrząc, jak Wendy rozpakowuje rzeczy.

- To cudowne miasto. - Wendy obojętnie wzruszyła ramionami. - Byłam zbyt zajęta, żeby wiele zobaczyć, ale podobało mi się to, co widziałam. Nawet przy marcowej pogodzie.

- Czy przywiozłaś dużo towaru do swoich sklepów?

- Masę. Chyba jednak następnym razem złożę zamówienie przy pomocy katalogów. - Wendy usiadła. - Wyobrażałam sobie, że jeżdżenie po świecie będzie dobrą stroną mojej nowej pracy jako kierowniczką, ale myślę, że podróże mi nie odpowiadają.

Darcy spojrzała na zegarek i wstała.

- Ale mnie odpowiadają i właśnie wyjeżdżam.

- Dokąd jedziesz?

- Na wyścigi. - Darcy uśmiechnęła się, widząc zdumioną minę Wendy. - Czy pamiętasz Donnie'ego, mojego drugiego męża, dżokeja?

- Myślałam, że Donnie to koń, na którym jeździł.

- Donnie zaprosił mnie na tydzień do Louisville. Może być wesoło.

- Baw się dobrze. - Wendy pochyliła głowę na oparcie kanapy i zamknęła oczy.

- Wendy, czy dobrze się czujesz?

- Chyba się zaziębiłam czy coś w tym rodzaju. Muszę po prostu wyspać się porządnie, żeby się z tym uporać.

Darcy położyła rękę na czole Wendy.

- Masz gorączkę. Lepiej będzie, jeśli od razu pójdziesz do łóżka.

Wendy posłusznie wstała i rozłożyła kanapę, która w jednej chwili zamieniła się w wygodne podwójne łóżko, zasłane ładnymi kwiecistymi prześcieradłami. Dziewczyna opadła na nie, wciąż całkowicie ubrana.

- Wendy, zła jestem, że muszę cię tak zostawić. Ale jeśli natychmiast nie wyjadę, nie zdążę na samolot. Czy masz do kogo zadzwonić, gdybyś potrzebowała pomocy? - Darcy znów dotknęła czoła Wendy i zmarszczyła nos.

* Brzoskwinia jest symbolem stanu Georgia, natomiast Wielkie Jabłko znakiem Nowego Jorku (przyp. tłum.).

- Wszystko będzie w porządku, Darcy. To tylko przeziębienie. - Była to właściwa diagnoza jej stanu. Nigdy w życiu nie było jeszcze Wendy tak zimno.

W godzinę później płonęła z gorączki. Miała tyle tylko siły, by otworzyć drzwi na werandę i ochłodzić mieszkanie orzeźwiającym wiosennym wiatrem. Dwadzieścia minut później poczuła znowu zimno, ale tym razem nie miała energii, by wstać i zamknąć drzwi.

Drzemała niespokojnie. Niekiedy budziła się sądząc, że znajduje się w obcym mieszkaniu. Dom to różowa sypialnia na starej farmie w Georgii. Dom to głosy krów, ptaków i śmiejących się dzieci. Raz obudziła się ze snu czując, że obejmują ją ramiona Shane'a. Był taki gorący, taki gorący...

Ostry dzwonek telefonu doprowadził ją na chwilę do przytomności. Starła się zlekceważyć jego natarczywe wezwania, ale były silniejsze od niej. Dzwonił Jason.

- Czy chciałabyś pójść ze mną na dancinę dziś wieczorem?

- Jestem chora, Jasonie. Przez jakiś czas nigdzie nie wyjdę.

Jason, maniak zdrowego trybu życia, wyrecytował długą listę witamin i specjalnych odżywek, które natychmiast powinna zacząć brać.

- Przypadkowo nie mam w kuchni laboratorium chemicznego - powiedziała krótko Wendy.

To chyba bardzo źle. Ona powinna być przygotowana. Jasonowi było przykro, ale obawiał się, że mógłby złapać grype, gdyby sam do niej zaszedł. Podyktował jej za to telefon apteki, która prowadziła dostawy do domu. Wendy powiedziała mu słodko, co może zrobić ze swoim numerem.

Telefon zadzwonił znowu, tylko tym razem na dworze było już ciemno. Nie mogła zrozumieć, dlaczego. Przecież przed chwilą, kiedy rozmawiała z Jasonem, było jasno.

- Wendy? - To była matka.

- Cześć. - Wendy rozpaczliwie starała się mówić ożywionym głosem. - Jak się masz?

- Jak ty się masz? Darcy zadzwoniła do nas z Kentucky z zawiadomieniem, że jesteś chora. Martwiła się o ciebie przez całą podróż.

- Czuję się świetnie. Po prostu muszę wypocząć.

- Jaka masz temperaturę?

Wendy zwlekała z odpowiedzią na tyle długo, że stało się to podejrzane.

- Nie masz termometru?

- Nie, ale mam numer telefonu. - Zaczęła chichotać, jednakże wywołało to ostry ból głowy.

- Numer telefonu? Kochanie, o czym mówisz?

- Mam numer telefonu do termometru. - Wendy zachichotała znowu, lecz tym razem lzy popłynęły jej z oczu. - Muszę kończyć, mamo. Oddzwonię jutro, jak będę się czuła lepiej. - Położyła słuchawkę obok widełek. Zasnęła, słysząc stały sygnał ostrzegający ją, że nikt nie może się z nią teraz połączyć.

- Wendy! - sygnał telefonu zmienił się w głośne walenie do drzwi. - Wendy, słyszysz mnie?

Wendy znów śniła o Shanie. Teraz usłyszała jego głos spoza otulającej ją gęstej, czarnej mgły. Drzwi na werandę były szeroko otwarte i zimne powietrze nocy wypełniało niewielki pokój.

- Shane?

- Otwórz drzwi, kochanie! Czy możesz to zrobić?

Czuła, że ciało jej jest jak mgła, bezkształtne, rozplywające się, nieuchwytnie. Przepłynęła powoli przez pokój i obróciła klucz w zamku. Jeśli śniła, to nie chciała się obudzić.

- Na Boga, Wendy! Jesteś rozpalona od gorączki.

Poczuła ogarniające ją ramiona Shane'a i oparła się na nim z wdzięcznością. Jeszcze większą wdzięczność odczuła, gdy wziął ją na ręce i zaniósł do pokoju.

- Czy istniejesz naprawdę? - spytała.

- Najzupełniej naprawdę.

- A czy przedtem naprawdę obejmowałeś mnie i całowałeś?

- Chciałem cię obejmować i całować. Wyczułaś moje marzenia. - Shane siedział koło niej na łóżku, odgarniając delikatnie jej wilgotne, niesfornie wijące się włosy.

- Nie odchodź, Shane. Zawsze odchodzisz.

- Nigdzie nie odchodzę. Teraz będziemy obniżać gorączkę. Kiedy ostatni raz brałaś aspirynę?

Wendy zamknęła oczy.

- Darcy dała mi przed wyjazdem, bardzo niedawno temu.

- To było całe godziny temu, kochanie. Czy piłaś coś, odkąd ona wyjechała?

- Shane, zarazisz się grypą.

- Nie. Wendy, nie przejmuj się teraz niczym. - Poszedł do kuchni, znalazł sok jabłkowy i aspirynę, którą Darcy położyła na bufecie. - Teraz cię podniosę. Zdejmę ci sweter i spodnie, chyba że możesz to zrobić sama. Postaramy się obniżyć ci temperaturę.

- Jestem za słaba.

Natychmiast ją posadził.

- Podnieś ramiona.

Postulznie podniosła ręce wysoko nad głowę i poczuła, jak ściąga z niej grubą wełnę. Następnie poszły spodnie i została w nylonowej bieliźnie, zbyt wyczerpana, by się wstydzić. Shane poprawił poduszki i zniknął w łazience. Światło, sączące się przez drzwi, raziło jej oczy. Po minucie wrócił z ręcznikiem zmoczonym w zimnej wodzie.

- Chciałbym, żebyś wzięła aspirynę i dopiła sok, a potem obmyję cię.

- Rodzice wyrzekliby się nas obojga, gdyby wiedzieli, co ty ze mną wyprawiasz. - Drżącą ręką wzięła szklanke i połknęła pigułki, które jej podał. Potem położyła się z powrotem na poduszkach.

- Twoi rodzice wiedzą, że jestem tutaj. - Shane okrągłymi ruchami ocierał mokrym ręcznikiem jej czoło i policzki. - Czy to ci sprawia ulgę?

- Mmmmm... co to znaczy, że rodzice wiedzą?

- Byłem akurat u was w domu, kiedy zadzwoniła Darcy. Matka po rozmowie z tobą była przerażona. Znowu wypadł jej dysk, toteż nie mogła przyjechać sama. Jennifer dostała już prawo jazdy, ale rodzice nie chcieli pozwolić jej prowadzić samej aż do Atlanty. Tak więc przekonałem ich, że jestem jedyną osobą, która może zrobić ten wypad. - Shane wyszedł, by ponownie zmoczyć ręcznik. Gdy wrócił, zaczął masować kark Wendy.

- A co z twoją farmą?

- Najałem dwóch ludzi, którzy opanują sytuację, dopóki nie wrócę.

- A co z Nancy?

- Nie przejmuj się Nancy.

- Co z Nancy?

- Dopóki się nie ożenię, nie mam obowiązku opowiadać się nikomu.

Wendy, zbyt słaba, żeby się sprzeczać, zamknęła oczy.

- Wendy. Obudź się. Czas na aspirynę. Znow masz gorączkę.

- Tak mi zimno. - Tym razem nie mogła usiąść i Shane, wsunawszy jej ramię pod plecy, podniósł ją jak szmacianą lalkę. - Jason podnosi ciężary, a założę się, że nie mógłby podnieść mnie tak łatwo. - Wendy dygotała.

- Wypij to. - Tym razem Shane trzymał jej szklanke, gdy połykała aspirynę. - Kto to jest Jason?

- Jason to mięczak, który wciąż próbuje pójść ze mną do łóżka.

- Nie sądzę, żebyś była zadowolona, kiedy się obudzisz jutro i przypomnisz sobie, co

mi powiedziałaś. - Postawił szklanke i położył Wendy na plecach.

- A ja ciągle mówię mu „nie”. Jest tylko jeden mężczyzna, którego chciałabym mieć w łóżku.

- Śpij, Wendy.

- Śpij ze mną, Shane. Tak mi zimno, ogrzej mnie.

- Śpij, kochanie.

- Założę się, że śpisz z nią, prawda?

- Kiedyś przypomnę ci tę rozmowę.

- Idź do domu, Shane. Idź do domu, do Nancy. - Wendy z ogromnym wysiłkiem przesunęła się na bok i ukryła twarz w poduszce. Drżała jeszcze, czekając na trzaśnięcie drzwiami.

Zamiast tego usłyszała skrzyp sprężyn, gdy Shane usiadł na brzegu. Za chwilę jej rozgorączkowany mózg zarejestrował stuk jego butów zrzucanych na podłogę. Potem poczuła, że otoczyły ją ramiona Shane'a. Była zbyt chora, by zdać sobie sprawę, że zdjął również koszulę i spodnie.

- Istnieje tylko jedna kobieta, z którą chcę spać i teraz właśnie to robię.

Blask słońca raził jej zamknięte oczy. Wendy ostrożnie podniosła powieki. Głowa jej ciążyła, czuła ból w całym ciele i jakiś ciężar przygniatał ją do materaca. Podejrzanie blisko jej piersi poruszyła się jakaś ręka.

- Dobry Boże!

- A więc obudziłaś się. Jak się czujesz? - Podejrzana ręka odgarnęła jej włosy z twarzy.

- Nieswojo - powiedziała ochryple.

- No myślę. Mam wrażenie, że gorączka ustąpiła wcześniej rano.

Twarz miał zmęczoną, ale malowała się na niej ulga.

- Dlaczego jesteś tutaj?

- Bo mnie zaprosiłaś.

- Nie pamiętam.

- W porządku. Ludzie w gorączce mówią różne rzeczy.

- Natychmiast wycofuję wszystko, co mówiłam.

- Nie powinnaś. Na przykład powiedziałaś, że nie byłaś w łóżku z Jasonem - mięczakiem. - Roześmiał się, gdy okazała zmieszanie.

- Bawi cię to?

- Tak. A ciebie nie?

Wendy zdała sobie sprawę z intymności sytuacji. Zanim jednak mogła zwrócić uwagę

na niebezpieczeństwa, czające się na horyzoncie, pocałował ją w czoło i usiadł na brzegu łóżka.

- Odchodzisz?

- Nie, dopóki się nie przekonam, że czujesz się już dobrze. Teraz przygotuję ci kąpiel.

Czy dasz sobie radę, jeśli cię zaniosę?

- Dam sobie radę.

Kiedy wrócił, uniosła się z trudem i otoczona ramieniem Shane'a poszła do łazienki.

Wendy dwa razy dłużej niż zwykle wycierała się i ubierała. Gdy skończyła, była całkowicie wyczerpana.

- Czy możesz mi pomóc wrócić do łóżka?

Shane znalazł się przy niej w jednym momencie.

- Z mokrymi włosami i bez makijażu wyglądasz na trzynaście lat.

- Czuję się, jakbym miała dziewięćdziesiąt. Nie pamiętam, kiedy byłam tak chora. -

Wendy usiadła na świeżo poślanym łóżku i uśmiechnęła się do Shane'a.

- Czy możesz coś zjeść na śniadanie?

W ciągu dziesięciu minut pojawiło się śniadanie: jajecznica z dwóch jajek, gruby plaster szynki, bułeczka kukurydziana i świeży sok pomarańczowy.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych. Shane chciał dowiedzieć się czegoś o pracy Wendy, a ona pytała, jak rozwijają się jego plany przeznaczenia części arealu na uprawy ekologiczne.

- Czy rynek na produkty ekologiczne jest tak duży, że dodatkowy wysiłek się opłaca? -
Wendy odstawiła talerz.

- Tu, w Atlancie rynek jest chłonny. Produkty ekologiczne miejscowego pochodzenia są rozchwytywane. A czy to jest opłacalne finansowo, dopiero się okaże. Wszyscy farmerzy dokoła mnie używają chemikaliów, więc zawiedzie wiele naturalnych środków zwalczania szkodliwych owadów.

- Jakich?

- Są złe i dobre owady. Pestycydy zwykle ich nie rozróżniają.

- A więc ochranianie pewnego gatunku owadów na twojej ziemi nie pomogłoby, gdyż inni farmerzy by je wytruli - Wendy zrozumiała kłopoty Shane'a.

- Fatalne, że owady nie umieją czytać znaków. Mógłbym postawić tabliczki na swoich gruntach.

Wendy uśmiechnęła się. Czuła się wprawdzie wciąż tak, jak gdyby poprzedniej nocy stratowało ją sto koni, ale za to warto było siedzieć na łóżku i rozmawiać z mężczyzną,

którego kochała.

- Czy mógłbyś przekonać swoich sąsiadów, żeby spróbowali stosować metody ekologiczne?

- A czy twój ojciec chciałby zaryzykować wszystkie środki utrzymania dla ideału, o którym nie wiadomo, czy się da zrealizować - Shane potrząsnął głową. - Prawdą jest, że ja sam przeznaczyłem na ten eksperyment tylko ponad dwa hektary. Ja także należę do tych, którzy zabijają dobre owady.

- Inaczej mówiąc, łatwo jest moralizować, gdy chodzi o grządkę w ogrodzie warzywnym, a trudno, gdy stawką jest cała twoja hipoteka.

- Mówisz jak prawdziwa córka farmera.

- No to dlaczego to robisz?

- Bo chciałbym coś zainwestować w ziemię dla moich dzieci. Nieustannie, dzień po dniu, niszczymy glebę, podobnie jak wszystkie zasoby świata. Wydaje mi się, że wszyscy powinniśmy zdać sobie sprawę, że nie możemy brać więcej, niż nam się należy.

- Myślę, że masz rację. Pewnego dnia nasze dzieci będą ci dziękować za twoją dalekowzroczność. - Drgnęła, gdy się zorientowała, co właściwie powiedziała. - Oczywiście mam na myśli nasze dzieci w szerszym sensie. Wiesz, nasze dzieci, nasz świat...

- A ja myślałem, że może mi się oświadczasz. - Shane zabrał jej talerz i zaniósł do kuchni, a Wendy usłyszała dźwięk zmywanych statków.

- A czy by pomogło, gdybym to zrobiła? - Wendy nie mogła się powstrzymać. - Czy nie jesteś już zajęty?

- Prawie.

Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest jeszcze chora. Chciała powiedzieć Shane'owi, że już sama sobie da radę i że może wracać do swojej ukochanej Nancy, ale gdy wyszedł z kuchni, już niemal spała.

Gdy obudziła się, było późne popołudnie. Najpierw myślała, że Shane odszedł, ale potem usłyszała, że bierze prysznic.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. - Stał w drzwiach zapinając koszulę.

- Nie - powiedziała podnosząc oczy. - Czuję się o wiele lepiej. Myślę, że przespałam to, co najgorsze.

- Czy zjadłabyś coś?

Wendy pokręciła głową i położyła rękę na jego ramieniu.

- Jestem gotowa do rozmowy.

- Nie mów rzeczy, których będziesz żałowała, gdy tylko poczujesz się lepiej. - Shane

zdawał się rozumieć, że ona nie ma na myśli zwykłej konwersacji. - Jesteś zmęczona, słaba i łatwo cię zranić. To nie jest czas na podejmowanie decyzji.

- A kiedy będziemy mieli inną okazję? Minęło osiem miesięcy od naszej ostatniej rozmowy, jeśli nie Uczyć Bożego Narodzenia, a ty nawet do mnie nie zadzwoniłeś! - Wendy poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Miał rację. Nie była w stanie prowadzić rozmowy o ważnych rzeczach, ale zanim będzie mogła, on już ożeni się z Nancy.

- Powiedziałem, że zostawiam ci wolność.

- Ale ja nie chcę, żebyś ty był wolny.

- Czy stosujesz podwójną miarę, Wendy?

- Shane, a czy ty posługujesz się Nancy, żeby wzbudzić we mnie zazdrość? Bo jeśli tak, to ci się udało. - Wielka łza spływała jej po policzku.

- Powinnaś wiedzieć, że nie mógłbym posługiwać się kobietą w ten sposób.

Rozpoznała stalowy błysk w jego oczach, ale ciągnęła dalej:

- To powiedz mi, dlaczego jesteś tutaj i nie opowiadaj głodnych kawałków, że jesteś jedyną osobą, która mogła przyjechać. Jeden z moich młodszych braci mógł przywieźć Jennifer albo przyjechać sam. Każde z nich wie, jak zająć się chorym. To się niewiele różni od leczenia krowy.

- Ale nie jest tak przyjemne.

- Powiedz!

- Byłem nieprzytomny ze zmartwienia, oto dlaczego.

- Och. - Gniew Wendy rozwiązał się i następna łza popłynęła w ślad za pierwszą. - Czy wciąż mnie kochasz, Shane?

- Nie pytaj. - Wstał i podszedł do szklanych drzwi werandy.

- Ja wciąż cię kocham i zawsze będę kochać - powiedziała dość głośno, by mógł usłyszeć.

- Osiem miesięcy temu zdecydowaliśmy, że miłość nie wystarcza. Nie sądzę, by to się zmieniło.

- Masz na myśli to, że ty się nie zmieniłeś. Wciąż chcesz mieć wszystko.

- To ty chcesz wszystkiego, Wendy. Chcesz, abym wisiął przy tobie czekając, aż zrezygnujesz z tego przeklętego miasta. A przez ten czas będę siedział na farmie, odrabiał siedemnastogodzinną harówkę i co wieczór wracał do pustego domu i zimnej kuchni. Wszystko na wypadek, gdybyś pewnego dnia zdała sobie sprawę, że możesz być szczęśliwa jako żona farmera. Chcesz, abym poświęcił związek z kobietą, która ceni te same wartości co ja, z kobietą, która chce mieć dom, rodzinę i męża, stawiającego ją na pierwszym miejscu.

Chcesz mi powiedzieć, że istnieje powód, bym przestał widywać się z Nancy? Że chcesz mnie bez względu na przeszkody? Że masz ochotę być żoną, jakiej potrzebuję?

Wendy nie wiedziała, co chce mu powiedzieć. Dokuczał jej ból głowy, który tylko częściowo wywołany był chorobą. Oparła głowę na rękach i pozwoliła, by łzy złagodziły choć trochę jej wewnętrzne napięcie.

- Przepraszam, kochanie. O Boże, przepraszam. - Shane podszedł i usiadł przy niej na łóżku, otoczył ramionami i przytulił. - Nie masz na to siły. Powiedziałem ci, że to nie jest właściwa pora.

- Nigdy nie będzie właściwej pory, prawda, Shane? - Była w rozpacz. Nie mogłaby znieść następnego pożegnania. Otoczyła ramionami szyję Shane'a i przytuliła się do niego.

- Nie pozwolę ci wymknąć się tak łatwo, ptaszku - przedrzeźniaczu.

Przygryzła wargi, rozumiejąc o czym myślał. Miał rację, a ona była boleśnie zawstydzona.

Mówił dalej:

- Moglibyśmy się kochać, a ty byłabyś wtedy zmuszona do wyjścia za mnie. Decyzja nie należałaby do ciebie.

- Pragnęłam cię.

- Siedem lat temu nauczyłem cię albo za dużo, albo za mało. - Głos miał chłodny i wstał, mówiąc te słowa.

- Pragnienie jest ważne, ale nie wystarcza.

- Pragnienie nie wystarcza. Miłość nie wystarcza. To co wystarcza?

- Wspólnota. To jedyna rzecz, jakiej nie próbowaliśmy.

- Wspólnota oznacza dwoje ludzi pracujących razem, by znaleźć rozwiązanie dla swoich kłopotów. Nigdy nie ustąpiłeś nawet na centymetr, Shane. Chciałeś, abym ci poświęciła wszystkie moje marzenia. - Wendy odrzuciła przykrycie i usiadła na brzegu łóżka, by patrzeć mu w twarz.

- Wymień choć jeden kompromis, jaki moglibyśmy zawrzeć. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł spotkać się z tobą w pół drogi. Powiedz mi, jak mogę być farmerem i żyć w mieście z tobą. Wymyśl sposób, a ja to zrealizuję.

- Moglibyśmy się pobrać, a ja dojeżdżałabym do domu na weekendy.

- Pół żony to nie lepsze niż jej brak.

- Mógłbyś kupić farmę bliżej miasta.

- Czy znasz ceny ziemi? Im bliżej miasta, tym bardziej są niebotyczne. Nie mógłbym kupić tyle gruntu, ile mam teraz.

- Myślę, że mogłabym wysuwać propozycje przez całą noc, a ty byś wszystkie odrzucił - powiedziała ze zmęczeniem. - Ty rzeczywiście mnie nie chcesz, prawda?

- Nie, ptaszku - przedrzeźniaczu. Nie jestem pewien, czy chcę. Nie wiem, czy byłbym w stanie patrzeć, jak nasza miłość więdnie z dnia na dzień - odparł spokojnie. - Zawieralibyśmy kompromis za kompromisem i żadne z nas nie byłoby szczęśliwe. Potem pewnego ranka stwierdzilibyśmy po obudzeniu się, że przehandlowaliśmy za kompromisy całą naszą miłość. Właśnie tak. I wtedy byłoby za późno, by coś na to poradzić.

Zmusiła go do powiedzenia słów, których nie chciała usłyszeć. To było więcej, niż mogła znieść.

- Myślę, że będzie lepiej, jeżeli już pójdziesz.

- Czy wszystko będzie w porządku?

- Będzie w porządku. Dziękuję ci, że przyszedłeś. Powiedz, proszę, moim rodzicom, że zadzwonię do nich jutro. - Wiedziała, że to brzmi bardzo oficjalnie, ale w jakiś sposób wydawało jej się to właściwe. W końcu byli teraz dla siebie już zupełnie obcy. Obcy, którzy prawdopodobnie będą się zawsze unikać.

- Nie przyszedłem, by cię zranić.

- Na przyszłość, proszę, nie przychodź wcale. - Wstała i podeszła niepewnym krokiem do drzwi. Otworzyła je, by go wypuścić. - Do widzenia, Shane.

- Uważaj na siebie, Wendy.

- A jeśli nie, Shane, ciebie nie będzie to już obchodzić, prawda? - Próbowwała zamknąć drzwi, ale przeszkodził jej.

- Jeśli pomyślisz nad tym, co powiedziałem, zobaczysz, ile mam racji.

- Jestem pewna, że masz rację, Shane. - Spojrzała mu prosto w oczy, wymawiając ostatnie słowa. - Jeśli małżeństwo z tobą byłoby choć w połowie takim nieszczęściem, jakim była miłość do ciebie, rozwiedlibyśmy się po tygodniu. Cieszę się, że miałeś dość rozsądku, by to zrozumieć. Życzę ci szczęścia z Nancy. - Gdy tym razem próbowała zamknąć drzwi, nie protestował.

Oparła się o nie, słuchając odgłosu oddalających się kroków Shane'a. Potrzebowała długich minut, by zebrać siły i odnaleźć drogę do łóżka.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie miało sensu naciąganie przykrycia na głowę. Była sobota, cudowny poranek czerwcowy, a za oknami Atlanta pyszniła się w zieleni.

A więc jeśli tak, czemu ona leży w łóżku z prześcieradłem naciągniętym aż po brwi, bojąc się nadchodzącego dnia?

Zaczęła wyliczać powody:

Po pierwsze, o wiele za długo wczoraj w nocy siedziała na pożegnalnym przyjęciu dla Darcy. Darcy i Donnie zdecydowali się zacząć od nowa i Darcy wyprowadzała się do Kentucky.

Po drugie, dzisiaj zaczynały się dwutygodniowe wakacje, na które Wendy nie miała ochoty.

Po trzecie, miasto, źródło nieskończonych zdawałoby się radości, straciło urok.

Chciała wrócić do hrabstwa Hall. Chciała być z ludźmi, którzy pamiętali, jak wyglądała, gdy straciła pierwszy ząb, z ludźmi, którzy wciąż opowiadają historie o tym, jak w lesie związała jednego ze swych braci bliźniaków i po skończonej zabawie zapomniała go uwolnić.

- Dalej, Wendy - namawiała zbuntowaną kobietę spod prześcieradła. - Wstawaj, rusz się. Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

Zrobiła sobie omlet z dwoma różnymi gatunkami sera. Kiedy kawa naciągała, wyszła po gazetę i pocztę. Listy z domu przychodziły rzadko, ale dzisiaj miała szczęście. Był Ust od matki.

Jak zwykle brakowało jakiegokolwiek wzmianki na temat Shane'a. To znaczy, że minęły już trzy miesiące bez słowa o człowieku, którego Wendy kochała. Zastanawiała się, czy pani MacDonald zawiadomiłaby córkę, gdyby Shane ożenił się z Nancy. Gdy starała się włożyć z powrotem list do koperty, odgadła, że matka bez własnego komentarza przysłałaby jej wycinek z gazety, zawiadamiający o ślubie. Byłby to taki sam wycinek, jak ten, schowany w kopercie, którą trzymała w ręku. Wendy wpatrywała się w mały skrawek papieru. Nie zauważyła go przedtem. Był wsunięty w róg. Położyła kopertę przy swoim nakryciu i zmusiła się do skończenia wystygłego już omletu.

Jeśli to jest zawiadomienie o ślubie Shane'a, nie będzie krzyczeć ani płakać. Wyjdzie na werandę i skoczy w dół. Oczywiście weranda była oszklona i znajdowała się na pierwszym piętrze, ale Wendy nie przejmowała się szczegółami.

„«Melanz» przechodzi w ręce nowego właściciela” - artykuł „Timesa” był krótki i rzeczowy. Helena Merritt przeprowadzała się do Clarkesville i sprzedała sklep z upominkami nieznanemu nabywcy. Nie wiadomo, co nowy właściciel ma zamiar z nim zrobić. Sklep był czasowo zamknięty.

Wpatrywała się w filiżankę z kawą, gdy ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Otworzyła. Stojąca tam młoda kobieta wydawała się jej znajoma.

- Wendy, mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.

- Nie. Wejść, proszę.

To była Nancy Gwynn. Wendy zastanawiała się, jak mogła zapomnieć tę twarz.

- Chodź, napij się kawy, Nancy.

Nancy usiadła przy małym stoliku, który Wendy kupiła w kwietniu, by skompletować umeblowanie swego mieszkania. Teraz wszystko, co do niej należało, było nowe, eleganckie i... jałowe. Myśląc o tym, zbyt mocno postawiła filiżankę Nancy i ochlapała sobie nadgarstek.

- Co cię tu sprowadza? - spytała, siadając naprzeciwko gościa i podpierając rękami podbródek.

- Przejdę od razu do rzeczy. Chciałabym wiedzieć, jakie masz zamiary wobec Shane'a.

- Nancy czekała, dopóki nie stało się oczywiste, że Wendy nie wie, co powiedzieć. - Będę postępować z tobą uczciwie. Shane i ja widujemy się od dłuższego czasu. Myślę, że się w końcu pobierzemy, jeśli nikt się nie wtrąci. Ale Shane kocha kogoś innego, przypuszczam, że ciebie.

Wendy poczuła, że policzki ją palą. - Jak możesz mówić o tym tak spokojnie? Czy kochasz Shane'a?

Na twarzy Nancy nagle odbiło się zmęczenie.

- Tak, kocham go. Ale nie jestem w nim zakochana. Czy wiesz, o co mi chodzi?

Wendy pokręciła głową przecząco.

- Byłam raz zakochana, w swoim mężu. To było cudowne. Z Shane'em jest inaczej. Łączy nas ten sam styl życia i wspólne wartości. Wiem, że będzie dobrym mężem i dobrym ojcem dla Robby'ego. I wiem, że ja będę dla niego dobrą żoną. Ale to coś innego niż za pierwszym razem.

Wendy uderzyła ręką w stół, co zaskoczyło je obodwie. Nie mogła uwierzyć, że ta kobieta mówi tak obojętnie o mężczyźnie, którego ona kochała.

- Jak możesz tak mówić! Shane jest najbardziej seksownym i najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego znam, a znam masę mężczyzn. Musi być coś z tobą nie w porządku, jeśli nie jesteś w nim po uszy zakochana!

- Jeśli tak czujesz, to dlaczego siedzisz tutaj, w Atlancie? - Nancy również trzasnęła pięścią w stół. - Jedź do hrabstwa Hall i zgłoś swoje pretensje, moja pani, albo nigdy nie wracaj. Nie pozwolę ci już więcej nabierać Shane'a. Przysięgam, że jeśli w ciągu tygodnia nie włączysz się do gry, przekonam go, by się ze mną ożenił.

Wendy została sama z ultimatum Nancy, którego echo rozlegało się dokoła.

Nie była w stanie siedzieć w cichym mieszkaniu i myśleć. Przez godzinę jeździła po mieście, a teraz stała w jednym z ładnych, małych parków Atlanty - nie wiedziała nawet, w jakim.

Nikt jej nigdy nie rozumiał. Była odmieńcem, nie pasowała do rodziny ciężko pracujących, rozsądnych ludzi. Nie krytykowano jej za to, przeciwnie, akceptowano i kochano, tak za jej odmienność, jak i z wielu innych powodów. Nie mogła więc mieć za złe sposobu, w jaki ją wychowano. Ale w innej rodzinie wyrosłaby na buntownicę, tak jak Shane. Robiła wszystko, co powinna robić dobra córka, jednakże gryzła wędzidło, dopóki nie dano jej swobody.

Miało to swoje uroki. Po raz pierwszy w życiu nie żądano od Wendy, by żyła zgodnie z czyimikolwiek wymaganiami. Musiała w pracy dostosować się do pewnych standardów, ale reszta dnia należała do niej.

Istniały jednak jej wymagania wobec samej siebie, z których nie mogła zrezygnować. Była nimi tak związana, jakby jeszcze mieszkała z rodzicami. Miała swobodę prowadzenia wolnego i łatwego życia, ale nie chciała. Na złe i dobre pozostała Wendy MacDonald córką Raymonda i Eldory. I była zadowolona, że jest tą właśnie osobą.

- Dlaczego zatem wolność jest tak ważna?

Wendy usiadła w trawie pod drzewem i oparła się o pień. Mogła nie być dość wolna, by zachować się jak tylko chciała, ale przynajmniej miała swobodę oddawania się marzeniom. Ale jakie były właściwie jej marzenia?

Nic nie przychodziło jej na myśl. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak mgliste były jej życiowe plany. Nie odczuwała nigdy żywego pragnienia, by wykonywać jakiś zawód. Jej siostra, Sandy chciała zostać prawniczką, Sara - profesorem w college'u. Żadna z nich nie godziła się poprzestać na czymś mniejszym. Tymczasem Wendy wiedziała, że byłaby szczęśliwa, robiąc masę różnych rzeczy.

Lubiła ozdabiać świat. Nie była to pasja, lecz zamiłowanie, które mogła realizować na wiele różnych sposobów. Nie musiała być menedżerem ani pracownikiem o bardzo wysokiej pozycji w jednej z większych sieci sklepów z upominkami. Lubiła stykać się z klientami, dotykać towarów, udzielać rad.

Czemu zatem mieszkała w Atlancie? Byłaby szczęśliwa pracując w „Melanżu”, szczęśliwsza niż w swojej firmie z Atlanty. Marzyła o urokach miasta, ale nie musiała mieszkać tutaj, by się nim cieszyć. Żaden spędzony tu wieczór nie był przyjemniejszy, bardziej ekscytujący niż jej pierwsza i ostatnia randka z Shane'em. Pobyt w mieście z osobą kochaną stokrotnie zwiększa jego wdzięk.

Cały czas buntowała się. Nie mogła, nie chciała w to wierzyć.

Wstała i poszła przez park. Usiadła na kamiennej ławce pod dwoma wielkimi drzewami i zamknęła oczy. Gdzieś ponad nią śpiewał ptak - przedrzeźniacz. Melodia była żywa i wibrująca. Ale nie jego własna.

W jaki sposób ptak - przedrzeźniacz może odnaleźć własną piosenkę? W jaki sposób może ją odnaleźć Wendy MacDonald?

Wiedziała, co nie jest jej powołaniem: nie praca od wschodu do zachodu słońca i wychowywanie dwanaściorga dzieci, co robiła chętnie jej matka. Ani wyłączenie się domowemu ognisku i sześciorgu dzieciom, jak Stacey. Ani też zaabsorbowanie karierą jak w wypadku Sandy. Ani... ani samotne i nieszczęśliwe życie w Atlancie i tęsknota za mężczyzną, którego kochała.

Myślała, że jeśli opuści dom, stanie się wolna. Shane zostawił jej wolność, by mogła odnaleźć siebie. Dostatecznie ją kochał, by ofiarować jej swobodę, której potrzebowała. Był to najszlachetniejszy rodzaj miłości, ponieważ nic nie otrzymał w zamian. Szanował jej i własne marzenia.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiała najprostszą prawdę świata. Mogła być tym, kim chciała, ale w tym celu musiała przestać się buntować i naśladować innych. Nadszedł czas, by prawdziwa Wendy MacDonald stanęła do walki. Ptak - przedrzeźniacz dotarł do celu.

A jeśli nawet nie bardzo była pewna, kim jest prawdziwa Wendy MacDonald, wiedziała z pewnością jedno: prawdziwa Wendy MacDonald wróci do domu, by znaleźć na to odpowiedź, gdyż tam trzeba było jej szukać.

- Spójrz na te gwiazdy. Skąd się tu wzięły?

- Były tutaj każdej nocy twego życia, Wendy. Byłaś dzieckiem, które zawsze wychodziło tu, by na nie patrzeć. - Eldora MacDonald kołysała się spokojnie i przyglądała córce, która siedząc na najwyższym stopniu schodów werandy, wyciągała ręce ku niebu. Eldora wciąż próbowała wytłumaczyć sobie fakt, że Wendy wróciła tego właśnie dnia do domu oświadczając, że zostanie na farmie przez cały urlop.

- Zawsze chciałam dostać się na te gwiazdy. - Wendy roześmiała się. - Chciałam być

kimś innym, gdzie indziej. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek widziałam je takimi, jakimi są. Gwiazdy, piękne, piękne gwiazdy.

- Zawsze unosiłaś się wysoko jak latawiec.

- Byłam tylko o krok od odkrycia. Ale teraz już się wyzwalam.

- Kiedy wrócisz na ziemię, wyjaśnij mi to.

- Wendy próbuje ci powiedzieć, że wreszcie uświadomiła sobie, gdzie należy - wtrąciła Sara, która wyszła do nich na werandę.

- Masz rację, jak zwykle - westchnęła Wendy, spontanicznie ściskając siostrę. - Dlaczego mi tego nie wyjaśniłaś wcześniej i nie zaoszczędziłaś mi tej całej męki?

- Ponieważ nikt nie był w stanie wyjaśnić ci czegokolwiek. Wybrałabyś z przekory inną drogę.

- Aż do dziś nie myślałam tak o sobie.

- Nie rozumiem z tego ani słowa - rzekła pani MacDonald. - Ale jeśli to nowe odkrycie sprawiło, że twoje oczy znów błyszczą, kochanie, to jestem za.

- One jeszcze nie całkiem błyszczą, mamó. Odzyskają blask, gdy poproszę Shane'a, żeby się ze mną ożenił.

- Co? - Pani MacDonald przestała się kołysać.

- Być może to się zdarzy jutro. - Wendy uśmiechnęła się do matki.

- Jesteś bardzo pewna siebie, prawda? - spytała Sara.

- Właściwie jestem śmiertelnie przerażona.

- To dobrze. Nie będzie go łatwo przekonać.

- O czym wy gadacie, dziewczęta? - Pani MacDonald była całkowicie zbита z tropu.

- To proste, mamó - Sara mówiła cierpliwie. - Wendy kochała się w Shanie od szesnastego roku życia. Wynikło między nimi nieporozumienie i Shane przepadł. Potem wrócił i uświadomili sobie, że się wciąż kochają. Ale Wendy miała wtedy inne plany życiowe i gniewała ją, że Shane się w nie miesza. Tak więc spędziła prawie cały zeszły rok w Atlancie i doszła do wniosku, że jej plany nie są właściwie warte złamanego grosza. Teraz wróciła, by powiedzieć Shane'owi, że tylko on liczy się dla niej na świecie.

- O! - Pani MacDonald zamilkła na chwilę. - Sara, jakim cudem wychowałam taką mądrą?

- Nie mam pojęcia - wzruszyła ramionami Sara. - Ale czy nie jesteś zadowolona, że ktoś dowiaduje się wszystkiego za ciebie?

- Nigdy nie żałowałam tego ani przez chwilę. Czy Sara ma rację? - pani MacDonald zwróciła się do Wendy.

- Prawie. Nie tylko Shane liczy się dla mnie na świecie. Mam swoje własne potrzeby i zainteresowania. Ale po raz pierwszy przekonałam się, jak bardzo są zmienne. Natomiast moja miłość do Shane'a jest niezmienna. Chcę mu to jutro powiedzieć.

- I będziesz żoną farmera?

- Jeżeli farmer mnie zechce.

- A jeśli nie zechce? - spytała Sara.

- Wtedy zatruję mu życie, dopóki nie zmieni zdania.

Wendy czuła, że musi zrobić tylko jedno, zanim znajdzie się w łóżku tego wieczora. Kiedy wszyscy zasnęli, zgasiła światła na dole i poszła do kuchni. Przy małej lampce znalazła telefon Nancy i wykręciła numer.

- Halo, Nancy. Tu Wendy MacDonald.

Krótką pauza.

- Wydaje mi się, że nie dzwonisz z Atlanty - odezwała się w końcu Nancy.

- To prawda. Pomyślałam, że byłoby uczciwie zawiadomić cię, że wróciłam i postaram się zdobyć Shane'a.

Głos Nancy był zaskakująco serdeczny. Wendy zdawało się niemal, że ona tłumii śmiech.

- A więc to tak. No to życzę ci wszystkiego najlepszego. Nie będzie mnie w przyszłym tygodniu, toteż nie wejdzimy sobie w drogę. Masz pełną swobodę ruchów, jeśli tego chcesz.

- Nie musisz mi robić łaski - powiedziała słodko Wendy.

- Łaska to był mój przyjazd do Atlanty, by cię ostrzec o moich zamiarach, kochanie. Reszta zależy od ciebie. Życzę ci pomyślności w tym tygodniu.

Rozłączyła się.

Wendy wpatrywała się w słuchawkę i nagle zdała sobie sprawę, że to jeszcze nie koniec telefonowania. Nancy wiedziała o jej powrocie, ale Shane nie. Przez cały dzień żyła myślą o nim. Teraz musiała usłyszeć jego głos.

- Halo.

Głos Shane'a był zaspany. Wendy uprzytomniła sobie, że go wyrywa ze snu.

- Halo, Shane. Tu Wendy.

- Wendy - mówił jak przez sen.

- Tak, Wendy MacDonald. Jak się czujesz?

- Piekielnie zmęczony.

Zapanowała cisza. Wendy nie wiedziała, co powiedzieć. Wreszcie spytała jak idiotka:

- Czy miałeś ciężki dzień?

Tym razem mruknął coś w odpowiedzi, jakby nie miał siły otworzyć ust.

Gdzież podziały się te czułe słowa, które miał wyszeptać jej do ucha? Gdzie uprzejma rozmowa? Rozczarowanie Wendy zamieniło się w gniew.

- W porządku. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać, Shane. Przyjemnie było z tobą pogawędzić. Zrobimy to znów za sto lat.

Z trzaskiem rzuciła słuchawkę na widełki. Miała nadzieję, że wreszcie przyciągnęła uwagę Shane'a. Jeśli nie, to następnego dnia, kiedy pojedzie się z nim zobaczyć, powie mu, co o tym myśli.

- Shanie Reynoldsie - powiedziała, patrząc przed siebie. - Jeśli myślisz, że uda ci się jeszcze raz prowadzić ze mną twardą grę, to lepiej wymyśl coś innego. Wyśpij się dobrze, moja miłości, ponieważ jutro dowiesz się dokładnie, z kim masz do czynienia. Nie tylko znalazłam własną melodię, ale zaśpiewam ci ją w stereo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wendy wpatrywała się ponuro w filiżankę kawy, gdy matka zeszła na dół, by przygotować śniadanie dla męża.

- Spędziłam ostatnio wiele czasu gapiąc się w kawę - mruknęła Wendy. - Gdybym wiedziała, jak czytać z fusów, to miałabym w ręku odpowiedni zawód.

- Co się stało z twoim dobrym nastrojem? Jedno jajko czy dwa?

- Dla mnie nic. Dziękuję. - Wendy potrząsnęła głową. - Wczoraj późnym wieczorem rozmawiałam z Shane'em. Nie jestem pewna, czy pamiętał, kim jestem.

Obudziła się przed świtem. Jej postanowienie, by zmusić Shane'a do słuchania jej, rozwiązało się jakoś w ciągu nocy. Teraz była gotowa przyjąć z rezygnacją to, co nieuniknione. Spróbuje spotkać się z nim, ale jej nadzieje runęły.

- Mogę ci powiedzieć, dlaczego prawdopodobnie nie wydawał się zainteresowany. Ale być może zbyt rozczulasz się nad sobą, by chcieć słuchać.

Wendy szybko podniosła głowę i spojrzała na matkę.

- Pomyślałam, że to przyciągnie twoją uwagę - pani MacDonald rzekła, uśmiechając się szeroko do córki. - A teraz, skoro nie spałaś dobrze w nocy, powinnaś zjeść za to dobre śniadanie. Dwa jajka czy trzy?

Wendy wiedziała, kiedy należało się poddać.

- Proszę dwa.

- Wczoraj w nocy, gdy zasypialiśmy, rozmawiałam z twoim ojcem o Shanie. Ma duże kłopoty.

- Co się stało? - Wendy musiała się powstrzymać przed ukryciem twarzy w dłoniach, w melodramatycznym geście przerażenia. Ścisnęła mocno palce i położyła dłonie przed sobą na stole.

- Przeliczył się z siłami. Poważnie. Zdaje się, że w tym roku pracował jak mrówka. Prawie tak, jakby chciał o czymś lub o kimś zapomnieć.

Wendy spuściła wzrok.

- W każdym razie - ciągnęła pani MacDonald - farma Reynoldsów była w katastrofalnym stanie, kiedy Shane wrócił. Jego ojciec zaniedbał ją, myślał wyłącznie o swoich inwestycjach i nieruchomościach. Gdy Shane przyjechał i zobaczył ten bałagan, postanowił uporządkować wszystko naraz. Twój ojciec mówił, żeby się nie gorączkował, żeby zaczął od kurników, a potem zajął się pastwiskami, potem zbiorami, potem sadami. Ale Shane

postanowił zrobić wszystko od razu. Zdaniem twojego ojca, szalę przeważały uprawy ekologiczne, z którymi eksperymentował.

- I co?

- Teraz wszystko się wali. Jeden z jego ludzi odszedł mówiąc, że Shane orał w niego za bardzo. Zatrudnił innego, ale ten nie na wiele się przyda, dopóki trochę nie pozna roboty. Wszystkie kurczęta Shane'a powinny iść na sprzedaż w tym tygodniu. I chociaż wynajął dodatkowego pomocnika, by je połapał i zapakował w skrzynie, to zaabsorbuje całą jego energię. Tymczasem zachorowały dwie krowy i wymagają stałej opieki. Na liściach od dawna zaniedbanych drzew brzoskwiowych pojawiły się plamy i muszą być natychmiast spryskane... - Pani MacDonald przerwała. - Mogłabym tak mówić i mówić. Prawdopodobnie najgorsze dla Shane'a jest to, że wyroiły się gąsienice, zjadające kwiaty bawełny. Pierwsze, co zaatakują, to jego ekologiczne poletko.

- A on nie może go spryskać, ponieważ przestałoby być ekologiczne. - Wendy mogła sobie wyobrazić, co musi czuć Shane.

- Twój ojciec poradził mu, żeby opylił pastwiska. Tam wylęgają się gąsienice. Jeśli pastwiska są odizolowane i porządnie utrzymane, wtedy nie ma żadnego kłopotu z gąsienicami wszelkiego rodzaju. Ale kiedy Shane wrócił, jego pastwiska były zarośnięte na wysokość człowieka. Zło już się stało. A on nie chciał opryskiwać terenów, stykających się z uprawami ekologicznymi. Wygląda teraz na to, że będzie musiał opryskać warzywa, jeśli nie chce stracić całego zbioru.

- Musi się czuć okropnie. - Wendy żałowała słów wypowiedzianych w gniewie przez telefon.

- Twój ojciec mówi, że on pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jest prawdopodobnie zbyt wyczerpany, by cokolwiek odczuwać. - Pani MacDonald wyjęła kiełbasę i wybiła jajka na patelnię.

Jakby na dany znak pan MacDonald wszedł do kuchni.

- Dzień dobry. - Nalał sobie filiżankę kawy.

Wendy wiedziała, że jest na nogach przynajmniej od godziny. Śniadanie stanowiło jedynie przerwę.

- Dzień dobry, tatusiu.

Wendy nakryła stół dla nich trojga, rozmyślając nad słowami matki.

- Mama powiedziała mi o Shanie - odezwała się, gdy śniadanie było gotowe.

- Mama chyba myśli, że masz do niego słabość. Czy to prawda?

- Prawda. Chcę go prosić, żeby się ze mną ożenił.

- Doprawdy?

- Dzisiaj. I to wśród krów, kurczaków i gąsienic.

- Byłoby lepiej, gdybyś się długo i głęboko nad tym zastanowiła. Rozejrzyj się dokoła. Być żoną farmera to żadna kariera. I nie pomył się, gdyż ten chłopak jest farmerem do szpiku kości.

- Czy mali chłopcy są ci dzisiaj potrzebni? - Wendy dwoma łykami dopiła kawę.

Pan MacDonald parsknął śmiechem. „Mali chłopcy” - osiemnastoletni Timothy i szesnastoletni Danny - byli przynajmniej o piętnaście centymetrów wyżsi od Wendy.

- Nie. Skoro James i Randy są w domu przez lato, mogę się bez nich obejść. Dlaczego pytasz?

- A co z Jennifer?

- Mogę się obejść bez Jennifer - rzekła pani MacDonald.

- Dobrze. Czy możecie im powiedzieć, żeby o wpół do dziesiątej przyjechali do domu Shane'a w roboczych ubraniach. I powiedzcie Jennifer, żeby przywiozła ze sobą te książki o ekologicznym ogrodnictwie. - Wendy była już prawie za drzwiami. - I zapowiedzcie im, że zapłacę stawkę minimalną.

W domu Shane'a panował bałagan, a gospodarz gdzieś znikł. Wendy chodząc po parterze z dezaprobatą kiwała głową nad nieporządkiem. W tym przygnębiającym nieładzie był tylko jeden optymistyczny akcent. Najwyraźniej Nancy Gwynn nie zaglądała tu od bardzo, bardzo dawna.

W czterdzieści pięć minut później Wendy znalazła Shane'a w oborze. Stała w drzwiach i patrzyła, jak zajmuje się krową. Nosił starą, flanelową koszulę, której nawet nie zapiął, i dżinsy tak sztywne od brudu, że można by je było postawić. Widocznie nie golił się od tygodnia, bo broda nadawała mu wygląd wykolejonego włóczęgi. Wszystko to nie miało znaczenia dla Wendy. Jedyne, która się uczyła, to świadomość przegranej, malująca się na jego zmęczonej twarzy, gdy przyglądał się krowie.

- Shane!

Odwrócił się lekko, koncentrując spojrzenie na niej. Nie wyrzekł ani słowa, po prostu mierzył wzrokiem spłowiałe dżinsy, koszulkę, chusteczkę okrywającą jej włosy i tekturowe pudełko, które trzymała przed sobą jak tarczę.

- Nie możesz porządnie pracować o misce płatków czekoladowych czy innej bzdury, którą znalazłam na stole - skarciła go łagodnie. - Przyniosłam ci śniadanie. - Podeszła powoli, jak gdyby zbliżała się do psa, podejrzanego o wściekliznę. Skoro nic nie robił, tylko patrzył,

nabrała trochę otuchy. - Nie miałeś wiele w lodówce - powiedziała niepewnie. - Ale zrobiłam ci jajecznicę z serem i grzanki. Tutaj masz kawę w termosie. - Popatrzyła na jego ręce i zmarszczyła nos. - A także mydło i czyste ręczniki.

Shane ściągnął brwi, jakby próbując zrozumieć, dlaczego tu jest i co mówi.

- O'kay - powiedziała wesoło Wendy. - No to cześć. - Odeszła, zanim zdołał odzyskać głos.

Dom rozpaczliwie wymagał sprzątanego, ale Wendy wiedziała, że trzeba z tym poczekać. Wszystkie siły poświęciła kuchni, wyrzucając śmieci, myjąc talerze, czyszcząc blaty i podłogę, póki nie zaczęły błyszczeć. Już o ósmej rano sporządziła długą listę artykułów spożywczych i wybrała się do sklepu w Gainesville. O dziewiątej była z powrotem w domu i wrzucała marchewkę do ogromnego garnka z duszoną wołowiną.

Jennifer i chłopcy przybyli punktualnie. Jennifer okazała się już bardziej zorientowana od siostry.

- Wiem, co robić z gąsienicami - oznajmiła, nim Wendy zdołała wyłożyć jej swoją prośbę. - Ale to będzie masa roboty.

- Skąd wiedziałaś, czego chcę?

- Tata zgadł. Myślał, że mamy źle w głowie, ale powiedział, że wieczorem przyjdzie pomóc, jeśli jeszcze będziemy pracować.

W południe pojechali do miejscowego sklepu spożywczego, gdzie sprzedawano sorgo, i do tartaku. Napelnili jedną z półciężarówek MacDonaldu mieszaniną trocin, otrąb pszenicznych i melasy. Timothy i Daniel klęli z obrzydzenia, gdy polewali mieszaninę wodą z gumowych węży.

- Czas na lunch, chłopcy - zawołała Wendy z głębi domu. - Jeśli oczywiście macie apetyt.

Tym razem znalazła Shane'a w jednym z kurników. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego.

- Przyniosłam lunch - powiedziała. - Starczy dla wszystkich.

Shane i pięciu ludzi, którzy pomagali mu łapać kurczaki, wyszli gęsiego. Nie był to piękny widok. Gdy się myli, Wendy nakładała chochlą duszone mięso do plastikowych misek i podawała na tacy stopy grzanek. Kubek słodzonej herbaty uzupełniał menu. Jedzenie miała w bagażniku. Shane był ostatni w kolejce.

- Wendy, co tutaj robisz? - powiedział przez zaciśnięte zęby.

To już był postęp. Nie stracił głosu.

- Sądziłam, że to widać - odparła.

- Wiesz, co mam na myśli.

Wendy nie mogła się powstrzymać. Podeszła i pogłaskała szorstką szczecinę na policzku Shane'a.

- Pogadamy później. Teraz największa na świecie porcja płatków czeka w domu, abym się nią zajęła. - Zanim zdążył odpowiedzieć, stanęła na palcach i pocałowała jego spocony nos.
- Zobaczmy się na kolacji.

Wendy nigdy w życiu nie była tak obolała. Każda szufla mieszaniny sprawiała jej więcej bólu niż poprzednia.

- Prawie już skończyliśmy - dodawała odwagi rodzeństwu.

Jennifer, której entuzjazm był niewzruszony, oparła się na łopacie i przyklasnęła.

- Jest już prawie ciemno. Moja książka mówi, że przynętę z otrębami najlepiej rozkładać o zmroku, ponieważ w ten sposób zostanie wilgotna przez całą noc.

Jedynie Jennifer potrafiła znaleźć powód do entuzjazmu. Wendy, Danny i Timothy byli jedynie znużeni. Wykopali półmetrowy rów wzdłuż boku warzywnego ogrodu Shane'a, który graniczył z pastwiskiem. Najpierw orali staroświeckim pługiem ręcznym, który znaleźli w szopie, ale ostatnie metry dokończyli łopatomy w pocie czoła.

- To już. - Timothy odłożył łopatę. - Już nie skopię ani centymetra. Czas rozłożyć mieszankę.

- Mam nadzieję, że wystarczy. - Wendy przygryzła wargi.

- Jeśli nie, to możemy zmieszać więcej i rozłożyć jutro wieczorem - zaproponowała wesoło Jennifer.

Wszyscy jęknęli.

Gdy rozkładali mieszankę na skraju rowu od strony pastwiska, Wendy wyobraziła sobie armię gąsienic, pełznących przez otręby. Przywabione melasą zanurzą się w mieszance, która rano stwardnieje i wyda je bezsilne na łup wiatru, słońca i ptaków. Te, które przejdą przez przynętę, wpadną do rowu, gdzie nieodwołalnie wyzdychają następnego ranka.

- Żegnajcie, gąsienice! - krzyknęła Wendy, gdy ostatnia łopata otrąb padła na ziemię. - Dziękuję, dzieciaki. Teraz lećcie wszyscy do domu i zjedzcie kolację. Spytajcie mamę, czy zostawiła coś dla mnie i dla Shane'a. Oderwę go od roboty, żeby coś zjadł.

Miała nadzieję, że zmusi Shane'a do kapitulacji. Wprawdzie nie pomyślała, by przynieść ubranie na zmianę, ale przynajmniej chciała zmyć brud i mieszaninę z twarzy oraz rąk. Była spalona słońcem, mokra od potu i najzupełniej niepociągająca. W żaden sposób nie mogła się oświadczać mężczyźnie, z którym chciała spędzić życie.

Na werandzie nad słuchiwała, czy ktoś jest wewnątrz. W domu panowało milczenie. Weszła na palcach i udała się do łazienki na parterze. W pół drogi zderzyła się z Shane'em, który nadchodził od strony kuchni. Miał mokre włosy, jak gdyby przed chwilą brał prysznic, czyste ubranie i był świeżo ogolony.

- Co tu jeszcze robisz? - spytał, zatrzymując się na odległość ramienia od niej.

- Wykańczałam twoje gąsienice.

Wyraz jego twarzy stanowił mieszaninę wściekłości i szaleństwa.

- Co robiłaś? - Porwał ją za rękę i powłókł do łazienki, chociaż się potykała.

- Ty mała wariatko! Co to za głupi pomysł! - Zatrzasnął drzwi i oparł się o nie. - Włącz pod prysznic!

- Oczywiście. Ale może najpierw wyjdiesz.

Skrzyżował ręce na piersiach i potrząsnął głową.

- Puść wodę albo sam cię tam wrzucę.

- Nie będę się rozbierać przy tobie. - Ona także potrafiła być uparta.

- Wcale nie potrzebujesz się rozbierać. Wchodź w ubraniu, a potem podaj mi je, kiedy będzie czyste.

Wendy zrobiła jak kazał, przekonana, że brak snu ostatecznie pchnął Shane'a w szaleństwo. Pod silnym strumieniem wody próbowała się odprężyć. Oglądała dosyć filmów Alfreda Hitchcocka, by wiedzieć, co może przytrafić się młodym kobietom pod prysznicem. Ale miała zaufanie do Shane'a, nawet jeśli wyglądało, że stracił zmysły.

- Ubranie, Wendy. Zdejmuj ubranie.

Miała ochotę odmówić, ale czuła, że Shane jej na to nie pozwoli. Rozebrała się do bielizny i nad zasłoną prysznica podała mu koszulę i dżinsy.

- Nie rozebrałaś się jeszcze.

- Nie zdejmę nic więcej.

- Zrobię to sam.

- Nie, czekaj!

Skończyła się rozbierać i przerzuciła stanik oraz majteczki ponad zasłonką jak striptizerka, której występ dobiegł końca.

- Masz. Czy jesteś zadowolony?

Nie było odpowiedzi. Shane wyszedł.

Wendy zakręciła wodę i ostrożnie wyszła spod prysznica. Zaryglowała drzwi i znalazła ręcznik. Wytarła się i owinęła w niego jak w sarong.

- Wendy, otwórz drzwi. Przyniosłem ci coś do ubrania.

- Najpierw powiedz mi, dlaczego to było konieczne?

- Kazałem ci wziąć prysznic, ponieważ cała byłaś pokryta trucizną. Ten produkt wchodzi we wszystkie pory, przenika ubranie. Jesteś miejską dziewczyną, nie znasz się na tych rzeczach.

Wciąż jeszcze nie rozumiała. W jaki sposób otręby, melasa i trociny mogły cokolwiek zatruć?

- Otwórz te przeklęte drzwi.

Tym razem usłuchała. Przekręciła klamkę i wysunęła rękę przez szparę. Kiedy cofnęła rękę, trzymała w niej ogromną koszulę roboczą. Po zapięciu sięgała jej do połowy ud. Przekręciła znów klamkę i wyszła z łazienki.

- Co za trucizna? - spytała.

- Trucizna, którą spryskiwaliście gaśienice. Produkt dostarczony dzisiaj ze sklepu.

Ulga odbiła się na jej twarzy i w głosie. Podeszła bliżej.

- O ile wiem, nikt nie dostarczał żadnej trucizny. Nic nie spryskiwałam. Jennifer, Daniel, Timothy i ja wykopaliśmy rów i obłożyliśmy go mieszanką melasy, otrąb i trocin. To powinno...

Podszedł powoli.

- Wiem, co to powinno wywołać. - Zobaczył, że drgnęła, kiedy zatrzymał się przed nią.

- Żałuję, że pośpieszyłem się z wyciągnięciem wniosków.

- A ja się cieszę, że nie zwariowałaś.

Przez chwilę uśmiezek zadrgał mu w kącikach ust, ale potem jego twarz znowu spoważniała.

- A teraz chciałbym wiedzieć, co tu robisz. Jesteś miejską dziewczyną. Czy to dla ciebie rodzaj wakacyjnych gier i zabaw?

- Wierz mi, że to nie były wakacje. - Wendy przyglądała się swoim dłoniom. Po zetknięciu z łopata pełne były pęcherzy. - Już nie jestem miejską dziewczyną. Wróciłam, żeby zostać. Z tobą.

- Dlaczego? Czy straciłaś pracę? Czy chłopca?

- Z pracą wszystko w porządku. Właściwie ostatnio dostałam podwyżkę, a podejrzewam, że tylko ty mógłbyś mi powiedzieć, czy straciłam chłopca. - Pogłaskała go po policzku. - Wróciłam, ponieważ cię kocham i to jest jedyne miejsce na świecie, gdzie chcę być.

Shane przymknął oczy, a Wendy głaskała jego powieki.

- Czy jesteś pewna? - zapytał cicho. - Bo ja nie będę w stanie pozwolić ci znowu

odejść.

- Absolutnie pewna. Jestem tu na dobre. Jako twoja żona, jeśli będziesz mnie chciał.

- Będę chciał.

Objął ją i przytulił, a ona z okrzykiem szczęścia rzuciła się mu na szyję, okrywając jego twarz pocałunkami.

- Czy wiesz, jak się czułem, gdy myślałem, że jesteś cała wytarzana w truciznie?

- Ratowałam nasze zbiory i naszą ziemię dla naszych dzieci.

Shane roześmiał się, gdy przytuliła się do niego, wreszcie odsunął ją, wziął za rękę i zaprowadził do bawialni.

- Odnalazłam swoją melodię. Uświadomiłam sobie, że ptak - przedrzeźniacz ma swoją własną piosenkę, składającą się z różnych motywów. Tak jest i ze mną. Ja chcę mieć ciebie i dzieci, i pracę, ale taką, którą mogłabym wykonywać tutaj, niedaleko od ciebie. Mogę być żoną farmera tak długo, jak długo mogę być także sobą.

- Nigdy nie chciałem, żebyś z czegoś zrezygnowała.

Shane pocałował ją znowu i przez jakiś czas milczeli.

- Shane, muszę wiedzieć. Co z Nancy?

- Nancy i ja nie widzieliśmy się od miesiąca. - Roześmiał się widząc, że wstrzymała oddech. - Oboje uświadomiliśmy sobie, że nie przestanę cię kochać.

- Ale ona przyjechała zobaczyć się ze mną do Atlanty. Powiedziała, że jeśli nie wejść do gry, to ona doprowadzi cię do ołtarza.

Shane zastanowił się nad słowami Wendy.

- Zabawiła się w swatkę. Nancy i ja rozstaliśmy się jak dobrzy przyjaciele. Myślę, że próbowała nas połączyć.

- A to żmija!

Wendy zaczęła całować czoło, nos i powieki Shane'a.

- Więc kiedy skończymy z gąsienicami, a krowy wyzdrowieją, kurczaki będą załadowane, a kurniki wydezynfekowane, wtedy za ciebie wyjdę.

- Krowy, kurczaki... - Shane jęknął. - Mam pięciu ludzi, którzy wrócą po kolacji, żeby to skończyć.

- Sądzę, że to bardzo szczęśliwie - przekomarzała się. - Inaczej mógłbyś stracić cnotę, zanim przeniosę cię przez próg.

- Zaczekamy tym razem, kochanie. Zaczekamy, dopóki nie będzie żadnych wątpliwości, lęku czy winy. Dopóki nie będziemy rzeczywiście należeć do siebie.

- My już należymy do siebie, odkąd skończyłam szesnaście lat, Shane. Nic, ani słowa

pastora, ani pierścionek, nie mogą tego uczynić bardziej prawdziwym. Jeśli zaczekamy, to dlatego, że nie chcę dzielić ciebie z farmą w naszą pierwszą naprawę wspólną noc.

- A ja przyrzekam, że zawsze będziesz dla mnie pierwsza, przed ziemią, przed zbiorami. - Zamilkł, jakby zastanawiał się nad dalszymi słowami. - I nie stanę ci na przeszkodzie, jeśli będziesz chciała sama prowadzić „Melanż” zamiast wynajmować kogoś do tej pracy.

- „Melanż”? O czym mówisz, Shanie Reynoldsie?

- Nie powiedziałem ci?

Wendy widziała, że bawił się jej dezorientacją.

- Kupiłem „Melanż”. Wydawał się dobrą inwestycją. I znalazłem w Atlancie młodą kobietę, która pewnego dnia mogłaby to poprowadzić dla mnie. Oczywiście bez zobowiązań.

- Miałeś zamiar posłużyć się sklepem, by mnie przywabić z powrotem do hrabstwa Hall! - Wendy pokryła jego twarz radosnymi pocałunkami.

- Muszę przyznać, że taka myśl przyszła mi do głowy. - Shane ujął jej ręce. - Czy to by poskutkowało?

- Nie wiadomo. Wszystko, co wiem teraz, to to, że jestem najszcześniejszą kobietą na świecie. Będę mieć wszystko, czego kiedykolwiek chciałam. Z tobą na czele.

- Ptaszku - przedrzeźniaczu, zawsze miałem nadzieję, że nauczysz się śpiewać tę melodię. Obyś ją śpiewała zawsze.

A gdzieś w pobliskiej gęstwinie ptak - przedrzeźniacz nucił swoje błogosławieństwa.